

Dziś w numerze: Arthur Miller o zabójstwie Roberta Kennedy'ego • Nowy jest każdy dzień • Jaskółki zamiast kul... • „W służbie lasu” • Andaluzja • Tradycje Mongolii • Felietony • Recenzje

odgłosy



24 (554)
16. VI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Z TEKI ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Fot. L. Janczak

JAN KOPROWSKI

Na Śląsku czarnym i zielonym

Pewna kobieta, stara i schorowana, poprosiła chłopca, aby jej przyniósł wody do picia. Chłopiec wziął konewkę, wyskoczył do studni i po chwili wrócił z konewką wypełnioną po brzegi wodą. Chora kobieta podziękowała mu jak mogła najlepiej: „Niech ci Pan Bóg da zdrowie, mój synku”. A na to chłopiec: „Ja nie chcę zdrowia, ja chcę miodu”!

Autor tej anegdoty, Janka Bryl, pisarz białoruski, który brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku, broniąc wraz z innymi żołnierzami polskimi Gdyni i Oksywia, przyjechał na tegoroczny Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych do Katowic wspólnie z Włodzimierzem Bielajewem, również świetnie mówiącym po polsku. (Dodajmy w nawiasie, że oprócz delegacji radzieckiej, przyjechali jeszcze pisarze Czechosłowacji i NRD). Przytoczoną na początku anegdotę białoruską Janka Bryl odniósł do przebiegu obrad, w których — jego zdaniem — za mało było sporów i polemik. Czy, mówiąc to, miał rację? Zaraz zobaczymy.

I.

Dyskusja na obecnym (jedenastym z kolei) Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych toczyła się wokół trzech wygłoszonych referatów: „Śląsk jako temat robotniczy i temat pracy” Jana Pierzchały, „Z zagadnień ideowych współczesnej literatury polskiej” Andrzeja Wasilewskiego i „Niemiecka Republika Federalna w stosunku do literatury polskiej” Wilhelma Szewczyka. Bardzo się bałem (nie ja jeden zresztą), że będą to referaty od lasa i od Sasa, pomiędzy którymi nie da się wykreslić żadnej linii spójnej, całkiem różne i może nawet ze sobą sprzeczne. Oczywiście, referaty dotyczyły różnych problemów, a napisali je i wygłosili pisarze o zupełnie odmiennych temperamentach. Ale, na szczęście, nie zabrakło w nich elementów łączących, powiedziałbym nawet, że ułożyły się one (te referaty) w pewną całość problemową i kompozycyjną. Były to bowiem wypowiedzi, upominające się o literaturę społecznie zaangażowaną, nie stroniącą od podejmowania rzeczywistych spraw kraju i narodu. Jan Pierzchała, z właściwą mu otwartością,

STANISŁAW KASZYŃSKI

ŚWIĘTO BALETU

UWAGI I REFLEKSJE

To był zaiste tydzień wspaniałych godów, festyn rzadkiej piękności, oczarowanie oczu i sluchu! Wchodząc nieomal co wieczór w pyszną przestrzeń Teatru Wielkiego powtarzałem sobie życiowe credo arcydzieła Balanchina — Balanchyna — jak każe wymawiać p. T. Wysocka — że „taniec jest kobietą”, i w zasluchaniu, w zapatrzeniu skłonny też byłem uwierzyć w inny hipnotyzujący aforyzm Labana: „każdy człowiek nosi w sobie tancerza”. Kto bywał w te dni w łódzkiej „operalni”, każdy musiał czuć się choć przez chwilę tancerzem.

Obserwowałem wychodzących, w ich uśmiechach i twarzach, posuwistym, rozplasnym kroku dostrzegano się, iż coś się z nimi działo — stało, że ulegli jakiejś niecodziennej przemianie. Mój zachwyt może wydać się komuś podejrzany, orzesadny. Sam to jestem gotów przyznać. Lecz jeśli oświadczyć, że po raz pierwszy w życiu przyłapałem się w owe wieczory na zdradzie teatru dramatycznego, przekładając nań balet. proszę mnie rozgrzeszyć z nadmiernej afekcji. Nie, nie przekreślam ostatniego zdania. Bo kto wie czy moje zwierzenie nie obnaża nieprzeczuwanej dotąd potrzeby częstszego obcowania z tą niezwykłą sztuką, rad bym bardzo wiedzieć, czy jestem osamotniony w tym mniemaniu, czy podziela ją inni, jak wielu. Komplety na widowni, to co się nazywa bezprzeżnością nabita sala, i to przez pełne dziesięć dni utwierdza mnie w tej opinii. Łódzka publiczność — bo nie było bodaj wycieczek z zewnątrz — cen, przypuszczalnie i kocha balet, o, świetna łódzka publiczność teatralna! A jeśli jeszcze nie, to wkrótce tak będzie, gdyż każde miłośnię trzeba się przecież uczyć. Innych powodów obecności łódzian na Spotkaniach Baletowych nie znam. Jest to czynnik rozstrzygający o sensowności utrzymania tej imprezy i on to winien przesądzić dalszy los Łódzkich Spotkań Baletowych, wbrew głosom różnych malkontentów i podgryzaczy. Jesteśmy pewni: w ewentualnych deliberacjach na ten temat — nie wierzę zresztą by prawdziwi lubownicy artium osmielili się podważać celowość naszego baletowego rendez-vous wszelkie ataki należy odpiierać najzwyczajniejszymi ar-

gumentami, to jest społeczną potrzebą tej instytucji i, co również się liczy, wysmienita organizacja. Nie dość podziwiać ogromny wysiłek włożony w przygotowanie, a potem kierowanie tą machiną. Teatr Wielki ma dobre manery, zdążył już sobie wyrobić swój odrębny styl a i obrzęd celebrowania, przyzwyczaił nas do tego wszystkiego — to zobowiązuje wszystkich. Trawestując powiedzonko Stanisławskiego teatr tutaj zaczyna się od... programów, redagowanych ze znanstwem i smakiem; można je sprzedawać w każdym teatrze świata (vide Album Łódzkich Spotkań Baletowych).

W odróżnieniu od większości festiwalu teatralnych nasze Spotkania szczęśliwie wyeliminowały współczynnik rywalizacji i konkurencji, a więc charakter konkursowy (jurorzy, nagrody itp.). I słusznie. Taki model powinien zachować w przyszłości. Wytracając emocje ubiegania się o pierwszeństwo, nie zlikwidowano tym samym momentu współzawodnictwa, który zawsze istnieje w każdej grze. Tętno, rytm, przebieg były identyczne, tyle że wytrzebione ze zbędnej nerwowości, jaka towarzyszy z reguły punktowanemu rozgrywkom. Idea spotkań wyklucza tego rodzaju szeregowanie, każdy może obwołać się zwycięzcą lub też schować w sobie porażkę; jest to kwestia taktu, rozważli i artystycznego sumienia. Toteż nie będę zajmował się wyznaczaniem kolejnych miejsc w baletowej tabeli. Zresztą z klasyfika-

Dalszy ciąg na str. 7

Dalszy ciąg na str. 3



„Karabin nie jest wynalazkiem amerykańskim, ale od dawna już stał się w życiu amerykańskim instytucją”. Te słowa dyrektora ośrodka studiów na Uniwersytecie Brandeisa — dr J. Spiegela charakteryzują atmosferę gwałtu, jaka panuje w Stanach Zjednoczonych. Na długiej liście ofiar zamachów znajdują się nazwiska prezydentów: Lincoln, Garfielda, McKinleya, Kennedy'ego, wybitnych przywódców murzyńskich: Eversa, Malcoma X i Kinga, teraz umieścić trzeba na niej także potencjalnego kandydata na prezydenta USA — Roberta Kennedy'ego. Zszedł z areny politycznej człowiek, który miał poważne szanse wygrania kampanii wyborczej. Czy właśnie dla tego musiał zginąć?

To pytanie powtarza się najczęściej. Znalazienie odpowiedzi na nie byłoby równoznaczne z ujawnieniem źródeł, z których wypłynęła inspiracja kolejnego mordu politycznego. I tego kółka polityczne USA obawiają się najwięcej. Z napływających z Waszyngtonu informacji wynika, że próbuje się zwrócić uwagę wzbudzonej opinii publicznej w kierunku wygodnym dla administracji, przygotowując teorię motywów zamachu. Jej elementem jest podkreślenie, że zamachowiec — Sirhan wywodzi się z arabskiej części Jerozolimy (choć ostatnie 12 lat spędził w USA). Jest to wyraźna próba zasugerowania, że źródła zbrodni leżą nie w układzie wewnętrznych stosunków amerykańskich, ale za granicą.

Nie pierwszy raz przyjmuje się taką linię taktyczną. Przypomnijmy, że natychmiast po zabójstwie Johna Kennedy'ego podjęto próbę zwołania Oswaldą z krajami socjalistycznymi. „Dowodów” tych związków dostarczył miała jego przeszłość. Teoria — jako zbyt ryzykowna — została zaniechana. Powrócono do niej po zabójstwie Kinga. Choć nikt nie mógł mieć wątpliwości, że mord ten jest dziełem amerykańskich rasistów — i tym razem usiłowano mówić opinii publicznej, że był on inspirowany z zagranicy.

I teraz znów sięgnięto do „zewnątrznych motywów”. Prasa amerykańska opublikowała na przykład oświadczenie dr Mehdi, przewodniczącego „Komitetu dla stosunków amerykańsko-arabskich”, który wręcz sugeruje, że „czym ten odzwierciedla frustrację wielu Arabów wobec postawy amerykańskich polityków, którzy sprzedali palestyńskich Arabów syjonistycznym wyborcom w Stanach Zjednoczonych”. I chociaż Departament Stanu oficjalnie oświadczył, że „nie posiada dowodów udziału jakiegokolwiek obcego rządu w tym tragicznym wydarzeniu”, ziarno zostało przecięte zasiane. A kiedy, jak w wypadku Oswaldy, trzeba będzie wycofać się z takiej „argumentacji” zbrodni, wtedy z pewnością dowiemy się, że zamach był dziełem po prostu... wariata.

W tym postępowaniu jest oczywiście metoda — chodzi o odwrócenie uwagi od stosunków wewnętrznych — przemocy, cełującej życie amerykańskie. Próbną to jednak trud. W kraju, tak chętnie pouczającym innych o demokracji, panuje zwykły gangsterizm, który stał się również „argumentem” politycznym.

Wyeliminowanie Roberta Kennedy'ego z walki wyborczej — można to stwierdzić już dziś — sfatalsuje w wyborach obraz rzeczywistego układu sił politycznych w USA. Jako alternatywa linii obecnej administracji pozostaje teraz tylko McCarthy, którego szanse są jednak znacznie mniejsze niż Roberta Kennedy'ego. Wszystko to wzmacnia pozycję reprezentanta obecnej administracji: Johnsona, jeśli zmieni swą decyzję o niekandydowaniu (a głosów takich nie brak) lub Humphreya, który przez liczne kółka polityczne uważany jest za kandydata nr 1 partii demokratycznej.

Czy właśnie nie o to chodziło inicjatorom zamachu na Kennedy'ego?

Właściwością amerykańskiej „demokracji” jest jeszcze i to, że nie dowiemy się prawdy. Okres między zabójstwem a wyborami może dać jednak wiele pouczających wskazówek.

Tragiczne wydarzenia w Stanach Zjednoczonych odsunęły na plan dalszy rozwój sytuacji we Francji. Tymczasem nastąpiła tam reorganizacja rządu, zrezygnowano z referendum i obecnie toczy się kampania, poprzedzająca wybory do Zgromadzenia Narodowego (pierwsza faza 23 bm.). Włączył się do niej prezydent de Gaulle, udzielając wywiadu radiowo-telewizyjnego.

W wywiadzie zwraca uwagę przede wszystkim ta część, w której de Gaulle rozwija koncepcje pośredniej drogi „między komunizmem a kapitalizmem”, którą nazwał „drogą współuczestnictwa ludzi pracy” we wszystkich dziedzinach życia nowoczesnego społeczeństwa. Wypowiedział się krytycznie zarówno o komunizmie jak i kapitalizmie, mówiąc o tym ostatnim, że „nie stanowi zadowalającego rozwiązania społecznego, zwłaszcza, kiedy „własność i zarządzanie przedsiębiorstwami społeczną tylko w ręku kapitalistów, a zyski płyną jedynie do ich kieszeni”.

Prezydent zapowiedział również reformę systemu szkolnictwa wyższego oraz wezwał do partycypacji w wyborach ugrupowań gaullistowskich. „Daj on jasno do zrozumienia — piszą komentatorzy — że nie ma Francji bez gaullizmu”.

W przemówieniu de Gaulle'a uderzają dwa fakty:

PIERWSZY, że nie zajął się analizą rzeczywistych przyczyn, które doprowadziły do fali najpotężniejszych w historii tego kraju strajków, spowodowanych — jak wiadomo — trudnymi warunkami życia klasy robotniczej.

DRUGI, że bliżej sprzecyzował swą drogę rozwiązania kryzysu, która — jego zdaniem — ma prowadzić przez „współdziałanie” i „współzarządzanie”.

Do oceny sytuacji przedwyborczej we Francji powróćmy w kolejnym komentarzu.

W. SŁAWSKI

Arthur Miller o zabójstwie Roberta Kennedy'ego

Znany amerykański pisarz i dramaturg, Arthur Miller, w artykule na łamach sobotniego NEW YORK TIMES wskazuje, że zabójstwo Roberta Kennedy'ego jest tylko kolejnym aktem przemocy i bezprawia w nie kończącej się serii sięgającej początków historii Stanów Zjednoczonych. Miller pisze:

„Czy nie jest już czas na to, abymy starannie przyjrzieli się sobie, temu jak żyjemy i jak myślimy oraz stawili czoła faktowi, że gwałty w naszych ulicach są gwałtami w naszych sercach, że przy wszystkich naszych osiągnięciach, naszych wierzach, kopalniach i czystych, lśniących opakowaniach, naszych działaniach charytatywnych i bogach, jesteśmy tym, czym byliśmy — ludźmi gwałtu?”

Lincoln, Garfield, McKinley, John Kennedy, Martin Luther King, Medgar Evers — oraz ciągnące się w nieskończoność pasmo ludzi zlinceowanych, ludzi załuczonych na śmierć w policyjnych celach, Indian wywłaszczonych przy pomocy noża i pistoletu, Murzynów utrzymywanych 100 lat w niewolnictwie przez tysiące małych armii nazywających

siebie rycerskimi, które dawno temu zakąły w łańcuchy czarną siłę roboczą i nie pozwalały, aby czarna ludność przeżywała na wolności. W mózgu Roberta Kennedy'ego znalazł się jedynie najnowszy odcinek z nawały ogniowej trwającej tak długo, jak długo istnieje ten kraj.

Mamy przed sobą Kongres stojący dosłownie twarzą w twarz z armią ludzi biednych, błądzących o ulżenie w jakiś sposób ich niedoli — Kongres, którego odpowiedzialność jest sztywno, lekceważący uśmiešek oraz ostrzeżenie przed zakłóceniem porządku.

Mamy przed sobą ludzi, którzy woleliby raczej przycisnąć do serca nienawiść, niż w braterskim geście wyciągnąć rękę do człowieka czarnego i do człowieka biednego. Oto przyczyna gwałtów. Jest rzeczą zabójczą mówić człowiekowi, że nie może on mieszkać tam, gdzie chciałby mieszkać. Jest rzeczą zabójczą mówić kobiecie, że ponieważ urodziła dziecko nieślubne, nie może otrzymać jedzenia ona, ani też jej dziecko.

Mamy do czynienia z gwałtami, ponieważ honorowaliśmy gwałty. Każdy niedouczony człowiek w porządnym ubraniu może zbić fortunę po skłeceniu programu telewizyjnego, w którym brutalność sфотоgrafowana jest w wystarczająco potwornych szczegółach. Kto produkuje te programy, kto opłaca ich patronat, kto jest honorowany za występowanie w nich? Czy ludzie ci są przestępcami psychopatami, którzy przemijają się ulicami kamieniami czynszowych? Nie. Są oni filarami społeczeństwa, szanowanymi ludźmi, przykładami powodzenia i społecznego awansu.

Kraj, w którym ludzie nie mogą bezpiecznie chodzić po swoich własnych ulicach, nie zyskał sobie prawa mówienia żadnym innym ludziom, jak mają sobie radzić, nie mówiąc już o bombardowaniu i paleniu tych ludzi.

Co musi być zrobione? Zabierzmy wojnie te 30 mld i przeznaczymy tę samą energię i pomysłowość, jaką wkładaliśmy w wojnę, na zlikwidowanie hańby nędzy w tym najbogatszym ze wszystkich krajów. Od-

czujemy tę hańbę, odczujemy ją taką, jaką ona jest — a jest ona osobistą znie wagą dla każdego z nas, na kto rej utrzymywanie się nie możemy pozwolić.

Albo rozpoczniemy budowę cywilizacji oznaczającej wspólną świadomość społecznej odpowiedzialności, albo też drapieżca, który się w nas kryje pozre nas wszystkich.

Musimy obecnie zdać sobie sprawę z tego, że boimy się Murzyna, ponieważ nie pozwoliliśmy mu korzystać ze społecznej sprawiedliwości i obecnie nie wiemy jak przestać mu na to nie pozwalać. Boimy się biednych, ponieważ wiemy, że mimo, iż mamy dość zasobów, aby za spokojić wszystkich, nie postawiliśmy w pierwszej kolejności sprawy dosłownego stworzenia miejsc pracy, które mogą i muszą być stworzone.

Boimy się innych krajów, ponieważ żywimy obawy, że wiedza one lepiej jak zaspokoić żądania ludzi biednych oraz ludzi kolorowych. Boimy się samych siebie, ponieważ przy pomocy reklamy, popierania się oraz hasel doprowadziliśmy się do stanu zadowolenia wiedząc, że ze wszystkich stron otaczają nas ludzie zrozpaczeni, a my nie wiemy jak wyrwać się z naszego zadowolenia.

Jesteśmy w stanie wojny nie tylko z Amerykanami, Zakończmy i jedno i drugie. Jesteśmy wystarczająco bogaci, aby zlikwidować każdy slums i otworzyć biednym świat na dzień. Co nas powstrzymuje? Czy chcemy pokoju w Wietnamie? Doprowadźmy więc do pokoju. Czy chcemy nadziei w naszych miastach i miasteczkach. Przestańmy więc zabierać komukolwiek korzystania z jego przyrodzonych praw.

Ponieważ Ameryka dawała większe obietnice, niż jakikolwiek inny kraj, musi ona dać o wiele więcej na polu ich realizacji. Może pozostała nam w worku już jedna obietnica, obietnica sprawiedliwości społecznej dla każdego, bez względu na jego kolor i stan.

Pomiędzy tą obietnicą a jej zaprzeczeniem stoi człowiek z pistoletem. Pomiędzy tą obietnicą a jej zaprzeczeniem stoi człowiek, który je rozdziela — Amerykanin”.

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Noszą zielone, żołnierskie mundury i na pierwszy rzut oka trudno ich nawet odróżnić od zwykłych podchorążych. Dopiero srebrzysty wąż na wylogach kołnierza jest legitymacją przyszłych lekarzy — oficerów. W ciągu 10 minionych lat WAM, opuściło mury tej jedynej w kraju specyficznej akademii medycznej setki oficerów. Rozjechali się po całym kraju — do zielonych garnizonów, do szpitali — czuwać nad zdrowiem tych co z koleją czuwają, aby niebo było czyste i spokojna granica. Lekarze — oficerowie obcho dzieli swój dzień — jubileusz 10-lecia swojej uczelni. Ale to nie tylko kuznia kadr lekarskich — tu także kształcą się naukowcy. W ciągu tego krótkiego czasu przeprowadzono tu 300 przewodów doktorskich i 34 habilitacyjne. Pracownicy naukowi WAM opublikowali przeszło 3500 rozpraw naukowych. A więc nie tylko służba zdrowia, lecz także służba nauki i to na użytek zarówno armii jak i cywilów. Bowiem hasło „wojsko z ludem” ma u nas głęboki, realny sens.

Wtorek

Pomaranczowe pasma przetlane zieloną nicią, granatowe smugi wełny inkrustowane czerwienią i ochrą — kolorowy świat piórkowskich tkaczy zakłety we wiotkie. Gdzie? W nowym lokalu Ligii Kobiet przy ul. Piórkowskiej 135. Przybyła nam w ten sposób jeszcze jedna galeria wystawowa — tym cenniejsza, że trafiała do naszych pań domu, które między pracą, zakupami a kuchnią nie zawsze mają czas na ekspozycje plastyczne. Tu w kobiecym azylu, gdzie setki kobiet przewijają się przez różnego rodzaju kursy — długoblanowo zamierzony cykl ekspozycji ma swoją społeczną rację. Wystawa Tkaniny Ludowej Złotych Piórkowskiej jest już dru-

gą w ostatnich tygodniach — przedtem ekspozycje tu pejzaże J. Wasiołka. Niebawem zaś na ścianach Klubu przywędruje współczesna lódzka grafika. Kto wie, może zamiast jednej wielkiej galerii wystawowej bardziej nam potrzeba gęstej sieci takich właśnie środowiskowych ekspozycji? Ich rola w kształtowaniu gustów estetycznych jest bowiem o wiele większa niż się nam wydaje.

Środa

Nie dalej jak trzy tygodnie temu pisałem o praktyce krajkowskiej Szkoły Aktorskiej, która kandydatów na studia szuka już w X klasach. Podobna praktyka ustala się także w Łodzi. Otóż jak się dowiaduje, z inicjatywy redakcji „Walki Młodych” odbędzie się w dniach 1-15 sierpnia w Uniejowie obóz zorganizowany przez Łódzką Szkołę Filmową dla młodzieży z klas dziesiątych, oczywiście dla młodzieży uzdolnionej artystycznie. Do programu zajęć na obozie wejdzie m. in. fotografia, rysunek, filmowanie. Będzie to — niezależnie od wyników — pożyteczna próba zaznajomienia młodych ludzi z pracą twórcy filmowego, a także próba zapobieżenia błędności — na zasadzie „owczego pedu” — wyborowi kierunku przyszłych studiów.

Czwartek

A więc Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych mamy już za sobą. Łódzkie Studio Małych Form Filmowych, które prezentowało na tym przeglądzie aż siedem prac może na swym koncie odnotować parę kolejnych sukcesów. Srebrnego Lafkonika otrzymały „Małe smutki” — uroczy, bezprezjonalny filmik dla dzieci — dzieło Jadwigi Kędzierzawskiej. „Małe smutki” — duża brawa, bowiem dobrych filmów dla najmłodszej widowni robi się u nas wciąż za mało. W tej dziedzinie

wciąż bardziej preferuje się omokierów — krytyków niż małych kinomanów. Trzeba zresztą przyznać, że SEMAFOR nie miał na Festiwalu niewypałów, co na przykład — niezależnie od pozycji cenowej — zdarzyło się warszawskiej WFD. Donośnie zabrzmiał „Wyczerpienie” Stefana Schabenbecka otrzymując nagrodę dla najlepszego filmu animowanego. Ale w końcu rzecz nie tylko w nagrodach — wszystkie filmy SEMAFORA widzownia przy mowała z zainteresowaniem i nie to, że nagród nie zebrał ani „Kidnaperzy” Sturllisa, ani „Poranek misia” Wilkosa — były to filmy bardzo dobre i właśnie one — choć nie znalazły się na złotej liście nagród — tworzą tzw. wysoki poziom krajkowskiego festiwalu.

Piątek

Dobre tradycje zawsze cieszą. A właśnie mam sposobność odnotować już piątą roczny konkurs literacki o nagrodę „Rubinowej Hortensji”. Nazwa jest efektowna, bo to i kolor jak trzeba i owa tajemnicza Hortensja — imię jak z legendy. Ale piórkowska Hutka Szkoła „Hortensja” jest nie z legendy lecz z dnia dzisiejszego — ona to właśnie funduje co roku poetom kryształowy puchar o rubinowej barwie. Pięć lat — pięć konkursów, setki nadesłanych z całej Polski wierszy, wśród których dominują utwory zaangażowane ideowo. Pięć lat, a więc nie efemeryda konkursowa jakich w Polsce pełno, pięć lat a więc ustala się tradycja, dobra tradycja hodowana pieczołowicie i przez działaczy ZMS i przez piórkowskich hutników, a przez poetów bardzo ceniona. W tym jubileuszowym roku z rubinowym kryształem pojechał do domu Roman Gorzelski, który „Hortensję” otrzymał za wiersze „Droga”, „Oracz” i „Wesele wiejskie”.

Sobota

Najpiękniejsza jest prostota — mówią znawcy przedmiotu i chyba się nie mylą. Prezentowano na krakowskim festiwalu wiele filmów o wyszukanej formie, ale piękno martenowskiego pieca i wytopu stały porażką wszystkich. Prostym filmem reż. Józefa Arkusza z Łódzkiej „oświatówki” opowiada o tym, jak z brył brunatnej

rudy rodzi się stal. Pokazuje na barwnej taśmie, jak kłoi wnętrza marteńskie, jak z kruchych kęsów rudy wytapia się nowa wartość — stal. Ta prosta, logiczna w wykładzie opowieść jest filmem fascynującym. Co więcej — jest filmem zrealizowanym nie dla technicznych trików i dla warsztatowych popisów formalnych — jest dziełem wartościowym — poznawczo. Jest filmem, który nie tylko bawi i fascynuje, ale u c z y. Film Arkusza dostał nagrodę Brazywowej Lafkonika, ale nie to jest najważniejsze. Otóż wydaje mi się, że „Odrudy do stali” jest swego rodzaju modelem produkcji „oświatówki”. Wytwórnia która w swej nazwie nosi słowo „Oświata” winna realizować takie właśnie filmy — o wysokich walorach artystycznych, piękne, zapadające w pamięć a jednocześnie kształtujące, mówiące nam o sprawach realnego świata.

Niedziela

Cztery dni trwać będzie rozpoczęte dziś muzealne sympozjum na temat znaczenia popularyzacji archeologii dla społecznego i patriotycznego wychowania. Ten przedługi tytuł sympozjum, to nie pułki frazes — świadomość tysiącletniej tradycji narodu jest budulcem patriotycznej godności. A poza tym popularyzacja archeologii ma ogromne znaczenie dla samej archeologii. Pełz to cenny znalezisk — skarbow numizmatycznych, grobów, śladów dawnej kultury — ocalone właśnie dzięki świadomej postawie prostych ludzi, którzy nabrali przypadkiem na glinianą skorupę o niecodziennym kształcie i złoty brakteat. Czterodniowe obrady w czasie których wygłoszonych będzie ponad 20 referatów i komunikatów naukowych — poświęcono m. in. problemom tzw. odbioru oświatowej akcji muzealnych przez różne grupy społeczne, formom pracy popularyzatorskiej w dziedzinie archeologii, sposobom ekspozycyj zabytków itp. No i wreszcie otwarcie stałej ekspozycji muzealnej po długotrwałym remoncie gmachu przy placu Wolności. Wszystko to odbywa się w ramach Międzynarodowej Kampanii Muzealnej, bowiem na całym świecie dawno już rozumiano, że historia służy współczesności.

JERZY WIDOK

Na Śląsku czarnym i zielonym

Dalszy ciąg ze str. 1

ostro i dosadnie, przedstawił problemat pracy w literaturze na przykładzie Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, Andrzej Wasilewski, w pięknym literackim eseju, zarzucił części naszych pisarzy uprawianie twórczości imitującej wzorce zachodnie, a więc pozbawionej kolorytu polskiego, osadzonej wszędzie i nigdzie, a Wilhelm Szewczyk, wierny swym zainteresowaniom niemieckim, przepatrzył receptę literatury polskiej w NRF, wnikając bliżej i głębiej w to, jakie polskie książki i dlaczego tłumaczy i drukują wydawcy zachodniemieccy. Były to referaty poważne, pełne krytycznej pasji, które w decydującej mierze wyznaczyły bieg dyskusji zjazdowej.

A zabierających głos było sporo jako że zjazdy pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych przekształcają się coraz bardziej w ogólnopolskie rozmowy o literaturze. Uczestniczyłem prawie we wszystkich dotychczasowych spotkaniach i mogłem obserwować jak z roku na rok poszerza się ich problematyka, jak zyskują sobie na powadze i znaczeniu. Początkowo dawał często o sobie znać ciasny partykularizm, uczestnicy, powodowani nawet najlepszą wolą, nie potrafili wyjść poza sprawy własnego podwórka, niekiedy brała górę postawa izolacjonistyczna i separatystyczne ciągoty.

Otóż na obecnym zjeździe w Katowicach mocniej, niż kiedykolwiek przedtem, zaznaczyła się tendencja do szukania tego, co łączy, co jest wspólne dla pisarzy mieszkających na wschodzie i zachodzie, na północy i południu Polski (a także — jak ktoś dowiecnie dodał — i w centrum tego kraju tj. w Warszawie i Łodzi). Myślę, że mogło się to stać w wyniku postępującego wcięcia i pogłębiającego się procesu integracji, który doprowadził do scalenia wszystkich regionów w jeden organizm społeczny i narodowy. Na zjeździe katowickim panowała atmosfera koleżeństwa i ducha demokracji, odżyły stare przyjaźnie i narodziły się nowe, zakrapiane obficie w bufetowych kuluarach nie tylko wodą mineralną. Czy zabrakło sporów i polemik?

Dyskusja, prowadzona w klimacie ogólnego ożywienia politycznego w kraju, dotyczyła istotnych spraw twórczości i funkcjonowania życia literackiego. Społeczność literacka nie jest jednolita. Pisarze wyznają różne światopoglądy i prezentują niejednokrotnie postawy ideowe, różnią się też, jeśli chodzi o podejście do zagadnień ściśle artystycznych. Nie da się jednak zaprzeczyć, że znakomita większość pisarzy polskich rozumie swoją rolę w dzisiejszym świecie i widzi jasno obraz zachodzących przemian we własnym kraju. Z trybuny zjazdowej padło sporo cierpkich uwag pod adresem tej grupy pisarzy, głównie ze środowiska warszawskiego, która



Z teki L.T.F.

Fot. A. Wójcik

spekulacje i rachuby kosmopolityczne wy nosi ponad sprawy narodowe, która uwi kłana w rozgrywki i machinacje szkodzi nie tylko interesom Związku Literatów, ale również (na bliższą i dalszą metę) so bie. Jak zwykle a więc i tym razem zagrały temperamety, co w rezultacie dodało zjazdowi barw i sprawiło, żeśmy się nie nudzili. A było nas na tym zjeździe grubo ponad setkę ze wszystkich środowisk literackich w Polsce (Łódź reprezentowali: Tadeusz Chrościelewski, Józef Kononowicz, Roman Łoboda, Igor Sikirycki oraz autor tych słów).

II.

Na drugi dzień obrady przeniesiono do Jaszowca, pięknej miejscowości wczesowej w Beskidzie Śląskim. Pogoda wprawdzie niezbyt dopisała (było pochmurno i często popadywał deszcz), ale przecież na zjazd literackie nie jedzie się dla pięknej pogody. Zresztą, gdy nadszedł wieczór, deszcz ustał, dzięki czemu udało się impreza na wolnym powietrzu. A była to impreza niezapomniana. Przy rozpalonym ognisku na leśnej polanie, beskidzki zespół artystyczny dał pódka pieśni, muzyki i tańca. Występem przypatrzyliśmy się nie tylko my, pisarze, także wczesowicze i ludność miejscowa. W trakcie występów gospodarze Jaszowca podejmowali nas kielbasą smażoną na ruszce (pod gołym niebem) i napojem górall beskidzkich tzw. warzonką. Nawet Władysław Machajek, który w czasie zjazdu zachorzał na grype, po wypiciu warzonki natychmiast ozdrowiał. Jaszowice, położony na stoku między zalesionymi górami, stanowi piękna oprawę dla zjazdu pisarzy, debatujących na temat sytuacji i możliwości rozwojowych literatury polskiej. Książki nasze mówią przecież o życiu w tym kraju i ukazują ludzi i pejzaż ojczyzny. Niedaleko Jaszowca — Ustroń beskidzki, trochę dalej, ale też blisko, Skoczów, w którym całe swoje świadome życie spędził Gustaw Morcinek, tak bardzo związany z czarnym i zielonym Śląskiem.

Trzeciego dnia, w niedzielę, pojechaliśmy do Cieszyna, gdzie na rynku pod arkadami rozdawaliśmy autografy cisnącej się młodzieży szkolnej (ze sklepów papierniczych znikły wszystkie notesiki i kajety) i podpisywaliśmy nasze książki, które czytelnicy mogli nabyć w licznych na ten czas kioskach kiermaszowych. Mieliśmy szczęście: choć niebo pokrywały ciemne chmury, deszcz nie lnął. Piękny jest ten Cieszyn, położony na niewielkim wzniesieniu, nad płynącą w dolinie Olzą, która stanowi naturalną granicę państwową między Polską a Czechosłowacją. Nie jestem tu po raz pierwszy. Byłem zaledwie przed rokiem na spotkaniu autorskim w miejscowym liceum, w którym uczy wielki miłośnik i znawca literatury, Edmund Rosner.

Chodziłem wówczas po Cieszynie i podziwiałem to prawdziwie uroczne miasto, pełne pamiątek historycznych i tak bar dzo związane z dziejami Polski. W baszcie na Górze Zamkowej znajduje się stylowa kawiarnia z obsługą w pięknych strojach regionalnych. W dawnych wiekach pijano tu miód kasztelański, dziś pije się czarną kawę, zresztą bardzo dobrą. Z Cieszynem wiąże się nazwiska wielu naszych pisarzy i uczonych, z dawnych nazwisko Józefa Ignacego Kraszewskiego, którego księżnica istnieje tu do tej pory, a ze współczesnych trzeba koniecznie wymienić Juliana Przybosa i chlubę polskiej socjologii Jana Szczepańskiego.

Cieszyn jest ważnym ośrodkiem przemysłu metalowego i elektrotechnicznego i nie mniej ważnym ośrodkiem kulturalnym dla całego zielonego Śląska (Beskidu). Czym dla Beskidu mały Cieszyn, tym dla czarnego Śląska stolica całego województwa — wspaniałe rozbudowane i wciąż się rozbudowujące, nowoczesne i najlepiej w Polsce oświetlone — Katowice. Miarą kulturalności mieszkańców Cieszyna i ich przywiązania do swego

miasta może być drobny w istocie lecz jakże charakterystyczny fakt, że ukazujący się tutaj tygodnik „Głos Ziemi Cieszyńskiej” wychodzi w nakładzie 17 tysięcy egzemplarzy i nie posiada w ogóle zwrotów. (W tym miejscu mała pryduka: siedemsettyśięcna Łódź nie może rozku pić „Odgłosów”, które ukazują się w nakładzie mniejszym niż tygodnik cieszyński, i w dodatku miasto nad Olzą liczy tylko 30 tysięcy ludzi. Komentarze zbyteczne).

III.

Powrót z Jaszowca do Katowic prowadzi malowniczą trasą beskidzką przez Wisłę, Istebną, Żywiec (znakomite piwo żywieckie), Tresnę, Bielsko i Tychy. Ale wasz sprawozdawca i jego koledzy nie mogli podziwiać tych uroczych zakątków, gdyż obowiązki służbowe zmusiły ich do nieco wcześniejszego powrotu. Niczego jednak, co na tym zjeździe było ważnego, nie uronił. A był to zjazd istotnie ważny, na którym mówiono o zasadniczych problemach literatury i kultury polskiej. Przy tym, obrady nie odbywały się w izolacji i odosobnieniu. Zorganizowane w tym czasie spotkania autorskie z górnikami, długie i bynajmniej nie zdawkowe z nimi dyskusje i rozmowy — zapewniły zjazdowi właściwą atmosferę i dobrą oprawę. Wszystko tedy „grało”, pod względem organizacyjnym był to chyba jeden z najlepiej urządzonych zjazdów pisarskich. Ślązacy to utalentowani organizatorzy, ludzie o dużym doświadczeniu społecznym i politycznym. Zjazd, od bywany w tych warunkach, umożliwił pi sarzom zetknięcie się z zarysowanym wyraziście profilem Śląska i jego mieszkańcami, którzy storczyli z pozoru, pełni są serdecznością, a ich gościnność nie ma sobie równej.

JAN KOPROWSKI

Nożycami przez PRASĘ

RÓWNOŚĆ I POSTĘP

Egalitaryzm, czyli zrównanie w prawach i dochodach. Socjalizm to likwidacja nierówności, stworzenie przesłanek dla jednakowego startu życiowego, zabezpieczenie dla jednostki zaspokojenia pewnych elementarnych potrzeb, uznanych za niezbędne, a więc prawo do świadczeń nie związanych z pracą oraz pewne minimum płacy niezależne od wykonywanych zajęć. Jak tedy ma wyglądać równość przy jednoczesnym zagwarantowaniu postępu? Oto temat rozważań Jerzego Jabłonowskiego w „Polityce”.

racjami klasy robotniczej i inteligencji?

Zagadnienie skomplikowane, obarczone różnymi młtami. Okazuje się jednak, że...

„Z danych dla 1967 roku wynika, że udział pracowników fizycznych w placach powyżej 3 tys. wynosi 16,8 proc., podczas gdy średnia dla ogółu pracowników — 19 proc.”.

Wnioski, w uproszczonym przedstawieniu, wyglądają następująco:

„Polityka podziału dochodów musi stać dostosowywać się do potrzeb rozwoju społecznego i gospodarczego”.

(Czemu jednak powinna towarzyszyć troska o stałe podnoszenie płac najniższych).

„Jedną z istotnych sił napędowych rozwoju społecznego i gospodarczego jest zróżnicowanie plac. Główną jego przesłanką musi być jednak rzeczywisty wkład pracy.”

„Zmienność kwalifikacji oraz wagi pewnych zawodów oraz zależni powoduje, że raz powstały system zróżnicowania nie

może pozostawać w bezruchu.

„Zróżnicowanie musi być na tyle znaczne, by pozwalało na realizację założonych zadań gospodarczych i społecznych. Nie może ono jednak być nadmierne, gdyż rodzi przesłanki wyobcowania pewnych grup.”

„Równie niebezpieczne jest zróżnicowanie z różnicowania plac w imię utopijnych i obiektywnie wstecznych koncepcji prymitywno-egalitarnego podziału (urawniłowki). Zrównywanie dochodów (plac) może dokonywać się tylko na gruncie wzrostu kwalifikacji, na gruncie równościowego wkładu do produkcji. Będzie to miało miejsce wraz z ogólnym rozwojem społecznym, na gruncie zmniejszania i zanikania pracy niewykwalifikowanej”.

WAŻNE!

Został ktoś zatrzymany w areszcie. Znalazł się ktoś, na skutek nieszcześliwego wypadku w szpitalu. A nawet, jeśli trafił do... Izby wtrzęźwień. Upiływają dni i zwłaszcza noce godzin, bliscy nie nie wiedzą o losie człowieka, który powiedział z rana zwyciężajnie wyszedł do pracy.

„...dla rodziny, nie wiedzącej, co dzieje się z jej bliskim, może to być czas równy wieczności, czas rozpacz, łez, a nawet ataku serca. Oskarżony, który dopuścił się chuligańskich wyczynów, zasługuje na karę. Nie uznajemy odpowiedzialności zbiorowej, dlatego więc rodzina zatrzymanego ma płacić ner-

wami, zdrowiem lub życiem za jego winy?”

Sytuacje te przypominają Danuta Kaczyńskiego w „Życiu Warszawy”. Autorka domaga się:

„Zdaje sobie sprawę z trudności organizacyjnych, związanych z natychmiastowym zawiadaniem rodziny zatrzymanego. Sądję jednak, że humanitaryzm nakazuje nam wprowadzenie generalnej zasady obowiązku zawiadomiania w możliwie najkrótszym czasie rodziny zatrzymanego.”

Jak te zasady realizować? Obowiązująca formuła przy zatrzymaniu powinno być pytanie, czy i kogo zawiadomić o fakcie zatrzymania. Sprawa jest prosta, jeżeli zatrzymany ma telefon w domu; jeżeli nie ma telefonu, niech wołno będzie, nawet na koszt zatrzymanego, taksówką wystać zawiadomienie”.

Podpisujemy się pod postulatem „Życia Warszawy” — nawiasem mówiąc, nie nowym — obiemą rękami.

WSPÓLCZESNOŚĆ I TRADYCJA

Prof. J. Z. Jakubowski polemizuje z wypowiedziami prof. Bohdana Suchodolskiego, wśród których znalazła się i taka:

„W porównaniu z innymi krajami nasza kultura wieków minionych jest w większej mierze kultura przeszłości i nie może się stać — na ogół bio-

rać — elementem kultury współczesnej”.

Prof. Jakubowski, nie on jeden nie zgadza się z tym osadem. Znajduje w naszej przeszłości o wiele więcej tradycji żywej niż li tylko „zapamiętanej”. I wyznaje: „Pojmuję tradycję nie tylko jako zespół dawnych ksiąg, do których nieprzedejawnego uroku wracam i których mądrość i piękno podziwiam. Tradycja — to dla mnie również zrozumienie swego miejsca w rozwoju narodu i ludzkości, to zarazem źródło inicjacji do własnej aktywności w nowej sytuacji narodu i świata. Tak pojęta tradycja nie odsuwa mnie od teraźniejszości, przeciwnie, narzuca pogłębiony kontakt z dniem dzisiejszym”.

A MOŻE BY TAK?

Maria Osiać zajął się w „Prawie i Życiu”, raz jeszcze sprawa dostępu do wyższych studiów. Przy okazji szeroko pisze o nierównościach w szkole średniej, niekiedy jaskrawych, bo zaczynających się od tego, co mogą stwierdzić nawet zmysły, jak choćby zmysł wzroku. Nazywa te nierówności „konkurem ojcowskich kieszeni”. Przykłady:

„Muszę zaznaczyć: nie raz mnie posiadanie auta, uważam, że opłacone pieniędzmi uzyskanymi w drodze uczciwej pracy jest najzupełniej normalne i na pewno nie demoralizujące. Ale na pewno rzeczą nieprzystojną i niesłuszną jest to, co się ob-

serwuje w niektórych szkołach. Podjeżdżają oio pod szkołę samochody służbowe rodziców, albo samochody prywatne, z których wysiadają dzieci przybrane w komisowe ciuchy. Rów nocześnie zdją do szkoły pięchota stary posiwiały pedagog, wysiadają z tramwajów i troleibusów gromady młodzieży, której skromne warunki domowe określają stan takiego a nie innego posiadania. Wśród części tej młodzieży panuje zdrowe przekonanie, że własną pracą, własnym wysiłkiem zdobywa się w życiu i pożyję i także pieniądze, najbardziej cenny jest właśnie fakt własnego wysiłku i własnej pracy”.

Musimy się przyznać, że nie umiemy pojąć, dlaczego dotąd w szkołach — podstawowych i liceach — nie obowiązują mniej więcej jednolity strój? Lub jednolity, ale zindywidualizowany dla poszczególnych szkół? Pomijając fakt, iż przemawia za tym tradycja nie tylko polskiej szkoły, prze pisowy strój — traktowany liberalniej oczywiście niż ongi — narzuca przecież pewien właściwszy sposób bycia, przypomina o obowiązkach wynikających z przynależności.

W tej sprawie dziwi postawa choćby „Przekroju”, który od lat lansuje mody i obyczaje sprzyjające wspomnianemu „konkursowi ojcowskich kieszeni”.

JAN OLECHNO

O tulipanach ich przesadzeniu i cebulkach

1.

Znaki na niebie i ziemi świadczą, iż w powietrzu wisi — nareszcie! — poważna dyskusja o problemach Szkoły Filmowej. Zmowa milczenia wokół tej sprawy — dla jednych wygodna, dla innych tylko denerwująca — po marcu pękła z głośnym hukem. Raczej nikła wędka merytoryczna o „Dziwnej Szkole”, cechująca pierwszych polemistów, sprawiła, że ten trudny temat brali oni, jak to się mówi, „na krzyk”. Nie dziwnym się temu: kogóż nie zirykował rąbek tajemnic, choć ledwie odsłonięty, kogóż nie wtropiały rewelacje np. o stypendiach niezamożnego Aleksandra Forda, syna Aleksandra Forda. A więc wokół sensacyjki zrobił się krzyk, w którym uczestniczyli przeważnie „Młodzi Gniewni Ludzie”. A teraz — miejmy nadzieję — nastąpiła pora spokojniejszych, bardziej merytorycznych rozważań.

Odezwał się (wreszcie!) i ktoś ze Szkoły, dotąd obrażonej i dostojnie milczącej. Jeden z najstarszych jej pedagogów, prof. A. Bohdziewicz dwukrotnie wypowiedział się na łamach „Kultury”. Warto uważnie wypowiedzi te przeczytać.

2.

Prof. Bohdziewicz zaczyna swój artykuł zaskakującym stwierdzeniem:

„Mimo wielkiego ożywienia jakie powstało wokół PWSTiF im. L. Schillera w Łodzi, wciąż nie mamy jasnego obrazu sytuacji w uczelni”.

Czy to szczerość, czy swoista kokieteria, bodaj najstarszego naszego pedagoga filmowego? Wiadomo, że Szkoła przeżyła ostre wstrząsy organizacyjne i polityczne, wiadomo, że jej system dydaktyczny zawodził i — po pięknym okresie schyłku lat pięćdziesiątych — wyjął się. Wiadomo wreszcie, że rozgromiony został wygodniaki, outsiderski senat uczelni, że odeszli ludzie, których opinia społeczna uważała za nianowców i popieczników „bossa” Forda. Wiadomo również, że prof. Bohdziewicz zna Szkołę jak bodajże nikt inny, bo od jej początków. A mimo to — „wciąż nie mamy jasnego obrazu”?

Proszę mi nie imputować, że wyrwałem jedno mało znaczące zdanie z kontekstu, że się czepliłem. Wypowiedzi prof. Bohdziewicza roją się od zdań z podtekstami, które — jak sądzę — zdradzają nastroje, nadzieje, postulaty, a może i kierunki działania pewnych środowisk filmowych. Naprawdę warto je uważnie odczytywać: lepiej się wtedy pewne sprawy pojmują.

3.

Wróćmy jednak do Szkoły. Szukajmy oceny jej sytuacji — mimo założonej na wstępie „niejasności oceny”. Ocena taka została bowiem przez Profesora wyraźnie sformułowana (cytuje):

„Szkoła (...) w październiku 1968 ma nawet obchodzić jubileusz. Ale lata jej chwwały i blasku już minęły. Światło jeszcze od gwiazdy biegnie, ale gwiazda już wygasła. Tyle, że kręci się jeszcze i obraca, ale raczej siłą bezwładu”.

Pesymistycznie, prawda? Prof. Bohdziewicz potwierdza więc w całej rozciągłości to, o czym półgębkiem mówiło się od lat. Jeśli jest tak, jak ocenia prof. Bohdziewicz, to istotnie potrzebne były cieżkie radykalne, zabiegi najdrastyczniejsze. Wyższe uczelnie nie powstają z cegły jedynie i sprzętu; tworzy je przede wszystkim intelekt kadry

naukowej. Gwiazda wygasła? A z jakiej to przyczyny, jeśli można zapytać?

Artykuł prof. Bohdziewicza i na to pytanie daje nam odpowiedź, chociaż — nad czym trzeba ubolewać — „nie mamy jasnego obrazu sytuacji w uczelni”.

4.

Pomińmy na razie kłopoty Szkoły, w swej większości objęte gestią senatu, długą ich listą: wadliwa — wg prof. Bohdziewicza — organizacja Wydziałów i rekrutacji, brak „lektur filmowych”, bolączki ze źle zorganizowanymi ćwiczeniami montażowymi i pracami dyplomowymi, wreszcie niedowład w dziedzinie wykorzystania sprzętu. Pomińmy te ważne sprawy, chociaż wylizując ich listę, prof. Bohdziewicz potwierdził, iż kierownictwo Szkoły, zaprzątęnię organizacją takich i owakich swych karier osobistych, zaniedbało prace dydaktyczne a nawet i podstawowe czynności organizacyjne.

Poszukajmy natomiast w wypowiedzi prof. Bohdziewicza sprawy najważniejszej. A jest taka: pedagog Łódzkiej Szkoły Filmowej zna sposób — panaceum — który może uzdrowić uczelnię, przywrócić jej dawny blask. Podejrzewam, że cała jego wypowiedź miała być tylko ramą dla tego najważniejszego postulatu: PWSTiF — może bez T? — należy przenieść do Warszawy. To zmieni istniejący stan rzeczy. Bowiem:

„Dziś ogromna większość wykładowców dojeżdża do Szkoły ze stolicy. Dojeżdża, odrabia swoje i szybko pedzi z powrotem. Czyż trzeba tłumaczyć, jak to się odbija na programie zajęć? (...) Do prawdy nie wiem, jak w tej „poczekalni kolejowej”, jaką stała się Łódzka Szkoła, zorganizować codzienne współzycie wykładowców i studentów, rozsądną realizację zadań dydaktycznych i wychowawczych”.

Rozważmy spokojnie jakie to korzystne zmiany zapowiada postulowana przez prof. Bohdziewicza transplantacja Szkoły do Warszawy? Czy po takiej przeprowadzce gwiazda PWSTiF znów zacznie świecić? Czy więc znów (cytuje Profesora) „Szkoła będzie tętnić życiem, profesorowie (ci sami co obecnie, przypisek mój) będą tkwić w niej do późnych godzin pedag. z zajęć na pokazy i dyskusje”? A może rzecz nie w lokalizacji, a w niedydysyjszym i minionym zapale młodości? Może obecne ciało pedagogiczne jest po prostu zużone, by nie powiedzieć — znużone — pracą w Szkole? Może ta obecna apatia, to jeszcze jeden swoisty przejaw „małej stabilizacji”?

A następnie: dlaczego to wewnętrzny system organizacyjny Szkoły — kulawy, jak można sądzić z artykułu prof. Bohdziewicza — kulejąc w Łodzi, w Warszawie pomaszkuje znowu po nowe światowe sukcesy? Dlaczego przeniesienie do Warszawy załatwił ma sprawę złą organizację Wydziałów, źle zorganizowanych ćwiczeń, błędów popełnianych przy rekrutacji, błędnego systemu prac dyplomowych? Ba! Dlaczego niewłaściwie wykorzystywany w Łodzi sprzęt zostanie w stolicy natychmiast wykorzystany właściwie? Dlaczego, dlaczego?

Na chłopski rozum sprawa ma się tak: Szkoła cierpi na wadliwą organizację i niedowład aparatu dydaktycznego. Tak formułuje przecież swą ocenę sytuacji (choć nie *expressis verbis*) sam prof. Bohdziewicz. Obie te zasadnicze dolegliwości wynikają z tych samych przyczyn, to oczywiste: ludzie odpowiedzialni za organizację wewnętrzną Szkoły — to przecież zarazem i jej aparat dydaktyczny. Czy więc w Warszawie uskrzydził tych ludzi zaabsorbowanych własną twórczością lub po prostu pozbawionych entuzjazmu pedagogicznego nowy warszawski entuzjazm, nowa warszawska wiedza czy nowe warszawskie objawia im się koncepcje artystyczne?

W artykułach prof. Bohdziewicza nie znajdujemy ani odpowiedzi na te pytania, ani rzeczowej, zasadniczej argumentacji na rzecz przeniesienia Szkoły do Warszawy. Poza wyświechtanym argumentem, iż „w Łodzi

brak właściwej gleby dla szkolenia filmowców”. Chociaż, gdy prof. Bohdziewicz mieszkał w Łodzi, to taka gleba tu była...

6.

Cytuję prof. Bohdziewicza:

„Jaka gleba jest dobra dla polskiej unikalnej Szkoły Filmowej? Absolutnie każda? Czy też można znaleźć glebę lepszą i gorszą? A jeśli tak, jeśli w dodatku hodowanie cebulek filmowych tulipanów tyle nas kosztuje, to czy nie warto rozważyć problemu wyboru gleby? Nie kierując się przy tym żadnym partykularnym interesem?”

Znamy tę nutę! Sprzeczną z polską tradycją praktyka bezwzględnego centralizowania naszego życia kulturalnego doczekała się, widać, w Profesorze Bohdziewiczu kolejnego teoretyka. To co Profesor uważa za (poimowane w warszawską) kulturalne gleboznawstwo — w języku ludzi mieszkających poza Warszawą nazywane bywa dewastowaniem ogólnopolskiej kultury. Bohdziewiczowa wizja pulchnej i żyznej gleby warszawskiej jest dla nas perspektywą następnego etapu wyjąłowania pogardliwie traktowanego „terenu”, demontowania jego funkcjonujących urządzeń i instytucji kulturalnych — po to by przytroczyć je następnie jeszcze jednej warszawskiej koterii do pasa. Można by wylizywać w naszej ubiegłej dwudziestolatce wiele takich poczyniń, w rezultacie których powstały różnorakie scentralizowane piekielka, o których tuł prawdy dowiedzieliśmy się dopiero dzięki tegorocznym politycznym perturbacjom. Po tych transplantacjach pozostały w terenie — a również i w Łodzi — puste miejsca, niezabliźnione rany.

7.

Ale wróćmy do wywodów Profesora (cytuje):

„Korzystając z uprawnionej polemisty, ja z kolei postawię pytanie: jakież to autentyczne interesy Łodzi załatwia istnienie Szkoły w tym mieście? W moim przekonaniu — nie załatwia ono żadnych poza czysto prestiżowymi”.

PWSF istnieje w Łodzi od lat i właśnie w tym mieście przeżywała swój najpiękniejszy

szy okres. Działa, mając tu warsztatowe zaplecze produkcyjne (jeśli nie wykorzystane to z winy kierownictwa Szkoły) — Wytwórnię Filmów Fabularnych (którą może zechce prof. Bohdziewicz przenieść do Warszawy, na lepszą glebę w następnej fazie reorganizujących Film Polski począwszy, a także Wytwórnię Filmów Oświatowych, Semafora — no i Ośrodek TV. Jest więc Szkoła łódzkim teoretyczno-szkoleniowym odpowiednikiem łódzkiego filmowego „zagłębia”.

I łódzka Szkoła — i łódzkie „Zagłębie filmowe” — są integralną częścią miasta. Profesor proponuje nam tej Szkoły amputację. Łagodną perswazją wprawia nam, że przed amputacją bronimy się... ze względów prestiżowych”. Czy powinniśmy się upierać w imię jakichś tam interesów miasta jeśli amputacja posłuży wygodzie znużonych i znużonych pedagogów filmowych? Ale, ale... przecież niektórzy z nich spędzają wiele czasu za granicą? Może dla nich zajęcia należy zorganizować w trybie sesji wyjazdowych? Znajdzie się może argument, że np. Paryż, Londyn, Bruksela czy Los Angeles mają „lepszą glebę” niż Warszawa? A dworci norwodwiskie, w których mieszkają inni wykładowcy PWSF? Zajęcia dydaktyczne w cieniu starych parkowych lip sprzyjałyby dotlenianiu się mózgowi i ogólnemu wzrostowi płodności twórczej. Może więc wydział Szkoły przenieść w plener, pod modrzewie? Gorzkie to żarty. Dajmy im pokój! Nam chodzi o życie.

Więc może wygarnijmy sobie prawdę w oczy. Jest przecież tajemnicą poliszynela, że zmiany personalne w Szkole poszły nie w smak dużej części tzw. filmowego środowiska twórczego. Ze licząc na „restaurację”, tymczasem działa się na zasadzie — aby przecześcić i jednocześnie, szeptem — że w Warszawie rzecz może dałaby się zakładować. Warszavo, kochana Warszavo!

Ale — i tak traktowani jak intruzi — po stawmy po prostaku drażliwe pytanie — cui bono? W czym to wszystko interesie.

Czy aby nie w interesie pewnych koterii działających w Filmie Polskim?

PS. Po bezsennej nocy dostrzegłem wreszcie bezsprzeczną korzyść jaka by wynikała z przeniesienia PWSF do Warszawy: synus tej i owej warszawskiej persony mógłby jadać w domu i miałby zapewnioną rodzicielską opiekę. Przyznajmy — to niemało!



Z teki L.T.F.

Fot. Z. Halatek

Nowy jest każdy dzień

Najpierw setki metrów ciągnie się ceglany parkan dawnej Manufaktury Widzewskiej, zimna ściana bez jednego okna, bez jednego otworu. Potem, w tym miejscu, gdzie mur się gwałtownie urywa, za zsiadłą kusej zieleni wypatrzyć można kunitzowskie chatki, które przypadły do ziemi, jak by się chciały ukryć przed rozbiórka.

Uliczka prowadzi na południe i mocno przypieka słońce, ale prawie się nie czuje zapachu roztopionego asfaltu. Już raczej mroźniejszy powiew wiatru zza siatki polaskocej w nosie eterem. To daje o sobie znać chemia. Ale odkąd wkomponowano w pejzaż drugi fabryczny komin, jej oddech przy ziemi jest zduszony — dyszy w niebo ośmioma tonami siarki w ciągu doby.

Nad portiernią zakładów, które ślepo zamykają uliczkę, góruje azurowy napis. ANILANA. Ludzie używają tej nazwy wymiennie z inną, która była pierwsza. „Robimy na Widzewie, we włóknie”. To właściwie nie miano, to całe zdanie. Ale brzmi po swojsku i ma za sobą przywilej pierworództwa.

1.

Feliks Reszke przyszedł tu po raz pierwszy, kiedy nie obowiązywała jeszcze żadna nazwa. Był rok 1945, przemysł się dopiero sposobił do rozruchu, a ludzie dostawali za swoją pracę kaszę i chleb, o pieniądze nikt wtedy nie pytał. Jeszcze w stalagu, przed przyjazdem z Luckenwaldu do Polski, Reszke umyślił sobie osiedlić się na Ziemiach Zachodnich na stałe. Potem jednak żal mu się zrobiło Łodzi, gdzie już jako trzynastoletni wyrostek popędzał co rano maszyną parową o mocy dwudziestu pięciu koni mechanicznych.

Więc kiedy zobaczył po powrocie z niewoli dewastację zakładów, odezwała się w nim żołnierska krew i zrozumiał, że jego miejsce jest w rodzinnym mieście. Właściwie nie było wiadomo za co chwycić się najpierw, wszystko wymagało remontu. Wyznaczono go do prac przy włókiennicy — w hali stało bajoro, nie było gdzie ustawić maszyn. Próbowano czerpać maź wiadrami i wylewać, ale kto by temu podolał. Reszke patrzył na to wszystko i zaczął zbierać walające się żelastwo. Już wiedział co z nim zrobić — skonstruował inżynery, specjalne pompy, którymi pokonał w końcu wodę. Później lali beton, wzmacniali fundamenty. Włókiennicza stoi do dziś.

Potem ruszyła produkcja, włókna celulozowe. Zakład robił sznurki do snopowiązałek. Nie były to wyroby imponujące, ale użyteczne, kraj potrzebował chleba. I te sznurki kosztowały ludzi wiele zdrowia, będąc w powijakach chemia, kąsła. Zanieczyszczenie powietrza było tak znaczne, że ludzie ślepli, trzeba ich było zamykać w ciemnicy, aby odzyskali wzrok.

Zakłady miały złą reputację, ludzie uciekali. Reszke widział to wszystko, ale nie odszedł z pracy. I doczekał się czasów, kiedy tę kaśliwą chemię zaczęto obłaskawiać obłaskawiał ją własnymi rękami. Obłaskawiał ją jako ślusarz, potem brygadziśta,

doczekał się awansu na mistrza, został kierownikiem oddziału remontowego.

Teraz, kiedy zakłady stały się sławne, kiedy wprowadzono nowe technologie, zainstalowano nowe urządzenia Reszkemu nie ubyło przez to pracy. Zawsze przecież znajdzie się coś, w czym można podłubać. Więc, jakby mu nie starczyło tygodnia, Reszke przychodzi do zakładu co niedzielę i spaceruje sobie wolniutko z głową zadartą do góry pod ciągami rur, sprawdza zawory i spojenia. Jeśli nie nie wymaga naprawy, denerwuje się, bo nie znosi bezczynności. Zresztą doskonale rozumie, że taka bezczynność to cisza przed burzą; nie wiadomo z jakiego kąta wyskoczy nagle лихо.

Ale Reszke potrafi wszystko w porę ocenić wprawnym okiem. W poniedziałek zjawia się jakby nigdy nie w pól do szóstej, rozdzieli pracę. Sam przydzieli sobie najtrudniejszy odcinek, uważa, że inny mu nie przystoi. Czasem dziwi się: dużo tej roboty. Ale kiedy zajdzie potrzeba, bez protestu podejmie się najtrudniejszego zadania. Dlaczego? Reszke długo milczy. Najtrudniej przecież wytłumaczyć to, co jest najbardziej oczywiste. Po pauzie znajduje jednak odpowiednie słowa:

— Pracuję w „Anilanie” już dwadzieścia cztery lata, postarałem się w robocie. I tylko jednego bym chciał, zanim odejdę: żeby to był najlepszy zakład. Najlepszy zakład w Polsce.

2.

Niektórzy uciekali od włókien sztucznych w obawie przed zatruciami, ale Antoni Michalak przyszedł szesnaście lat temu do zakładu, aby podreperować swoje zdrowie. Chemia nie była mu straszną, lękał się tylko wilgoci, od której do kości wchodził reumatyzm. Tęgo reumatyzmu nabawił się w Gdyni, kiedy pracował w firmie „Hartwig” i przychodziło mu większą część czasu spędzać na statkach, które przybijały do nabrzeży.

Michalak dał na oddział antykorozyjny. Nie było to wtedy miejsce najlepsze do leczenia reumatyzmu, przez ścianę pachniało formaliną i łyż kręciły się w oczach. A zresztą wszędzie cychał podstępny wróg: siarczek węgla, od którego drzewa traciły listowie, a ludzi napadała śpiączka.

Potem zaczęto budować drugi komin, wysoki, do siarczku. Michalak przestał lękać się reumatyzmu, gaz wydawał mu się już wtedy większym niebezpieczeństwem od wilgoci. Teraz, ilekroć Michalak kroczy drogą zakładową na swój oddział, rozmyśla nie bez satysfakcji: przetrzymałem tę budowlę; siarczek zgryza komin, a ja jestem zdrow.

— Tak, dzisiaj pracownicy przychodzą do lepszych warunków, niż ja startowałem — mówi Michalak z zadumą, ale bez żalu.

Ale Michalak nie byłby sobą, gdyby go ten spokój zadławił. Sam poszukiwał wiatru; wstał do zakładowego oddziału samoobrony, znalazł się w drużynie odkażania i dezaktywacji. Nie jest to czeza przynależność, to robota, często odpowiedzialna i niebezpieczna robota. W razie awarii trzeba w mgnieniu oka znaleźć się na stanowisku.

Czasem, taki zdawałoby się drobiazg, jak nieszczytelny zawór, przedstawia poważne niebezpieczeństwo, kiedy wydobywają się niszczycielskie substancje. Kiedyś sprowadzono do zakładów kilka cystern stężonego kwasu siarkowego i podczas przetaczania z jednej zaczął wyciekać na ziemię palący płyn. Rozlewał się szeroka struga, wsiąkał zagrażając biegącym pod ziemią instalacjom elektrycznym, nie było więc chwili do stracenia. W ciągu paru minut drużyna Michalaka oznakowała zagrożony teren likwidując jednocześnie źródło wydobywania się kwasu. Ubrani w kombinезony gumowe, asekurując się wzajemnie dotarli do zaworu. Zamknęli go. Musieli jeszcze usunąć z terenu wszystkie elementy metalowe, aby ich kwas nie strawił. Potem długo wyle-

W służbie lasu

Wyżej sterczy rząd chałup wtulonych w ciemną ścianę lasu. Po tem wąski pasek drogi zwija się gwałtownie w lewo i spada w gąszcz zagajów, spomiędzy których czernia się ściany obęścia. To ostatnie, głęboko zapadłe w las zabudowania wsi Rydzynki. To chałupa gajowego Feliksa Nowaka.

1.

Z budy wyrwał się z jazgotem spory wilczur i zawył na drgającym łańcuchu, a gdzieś z boków dopadły mu dwa rozszekane, pomniejsze kundlie. Na stopniach przed chałupą pojawił się gospodarz. Mężczyzna postawny, w zielonym mundurze, w takieżym czapce z grubo okutym daszkiem. Twarz czysta, bez zmarszczek, łagodne spojrzenie wybiłkłych oczu. Jest zakłopotany, bo to brak czasu, on teraz urlopuje, chciałby więc, choć już późno, zasądzić trochę ziemniaków, zamówić ludzi do pomocy, właśnie się wybierał.

Przysiadamy na zamkowej ławeczce przed domem. Co tam ja, zwykły człowiek jestem, mówi, a ta moja robota to też nie żadna filozofia, jak każda praca, tyle że samotna, bez ludzi, ale może to i lepiej...

Nowak nie miał we krwi leśnictwa, nikt w rodzinie nie parzył się tym zawodem. To było zupełnie inaczej... Jeszcze w podstawówce zrodziło się w nim zamiłowanie do pracy w lesie. Ojciec jednego z kolegów pracował. Chodzili z nim nieraz na obchód, patrzyli na ścianie wiekowych drzew, uczyli się rozpoznawania chorego drzewostanu. Bywało, idąc, drą się przez zarośla, cisza wokół, i nagie trzask, galopada w przodzie migoce białe podogonie gnającej szaleńczo sarny. Tak, tego się nie zapomina. Lubił samotność, spokój, też został gajowym. W roku 1925 otrzymał posadę u dziedzica w lasach dętowskich. Był młody, zapalony, chętny do roboty. Ale miał jedną wadę, bo na owe czasy była to wada — łagodność usposobienia, którą jeszcze bardziej zwielokrotniało i kształtowało obcowanie z naturą. Nosił w sercu dobroć i życzliwość dla ludzi. A w owe czasy wsie były głodne i biedne, ludzie w srogi zimy zapuszczali się po pańskie drzewo, latem zaś po jagody i grzyby. Nie potrafił, jak inni, wyrwać kobietom dzbanów, nie umiał rozgnieść butami owoców na miazgę. Niekiedy dziedzic robił mu „podpuchy”. Szedł za nim, podglądał, a kiedy Nowak z dobrego serca puszczał chłopca z marnym chojaczkiem, dostawał w sębę i ostrzeżenie, że wyleci z roboty, jeśli zapomina o swej powinności cerbera.

2.

Bardzo lubił zwierzęta. Widział las jak nikt. Podczas samotnych wędrowek doświadczał widoków, jakich brak zwykle mu śmiertelnikowi. Stoi sobie, na ten przykład, na skraju polany, a tu zza pleców wyrwa się szurkot, nie psie poszczekiwanie, wypada szarak z wtulonymi słuchami, a za nim śmiga żółta błyskawica. Lis jedzie na zająca, już go ma, już ten bek rozszczelny! Wtedy Nowak flintę do oka i lup w te ruda kite, dla postrachu! Lis cały, zając cały, tylko gąsienice ma uszczerbek w kieszeni, bo musiał naboże dokupić, za własną forszę.

Ano, dorobił się trochę w kawalerskich czasach, jakże by nie Sam na siebie robił, a niewiele mu potrzy, Co z tych pieniędzy jednak, na co je wydawać, kiedy służba w lesie to nie fabryka — odwalisz osiem godzin i spokój. Tu służba trwa całą dobę, w nocy też, zwłaszcza jak pełnia miesiąca, bo ludziska wtedy ciągnęły do drzewo, trza było bacznie na pański rozkaz. Wracał do chałupy, do natowej lampki.

Pusto, zimno, pitnąś se, chłopie, żarcie, a co se nawarzysz, to i zjesz, tyle to nie za bardzo smakuje. Nie miał śmiałości do kobiet, która by się chciała zgodzić na to życie pustelnicze, myślał. A przecież znalazł taką, przypadł se do serca, gdzś dziewczyna miała duży z usposobienia kawalera. Po roku przyszła na świat córka. Miał już do kogo wracać z leśnych obchodów, witał go ciepły dom, uśmiech dziecka i dobre, troskliwe ręce żony. Ale nad życiem ludzkim wisiała już ciężka, złowieszcza chmura. Szedł wrzesień 1939 roku. Przy dość ruchliwym trakcie wiodącym z Dętowa do Belchatowa zgrupowały się oddziały polskie. Chałupa gajowego stała już przy drodze. Nowak przyjął w prosi dowództwo polskie. Chciał uzyskać łączność, toteż w chacie gajowego zainstalowano telefon. Szwabskie samoloty penetrowały niebo. Nad lasami, pikowały nurem nad drogę. Pod wieczór zawyło pod niebem i sypnęły bomby. Las ten wielki przyjaciel, ratował od śmierci, brat w swe zielone ramiona. Stałowy ptak pluł ogniem, ranił drzewa, sypał igliwem na głowę Nowaka, który własnym ciałem ochraniał w ucieczce żonę i córkę. Byłaki, dziecko postrzelili w biodro, dzwigał na rękach nieprzutomną córeczkę, plakała żona. On sam cudem uszedł z życiem, bo zdejmując czapkę, patrzy, a daszek przewiercony na wylot. Chciał te czapkę zostawić na pamiatkę, ale przypadło mu wszystko w wojenny czas. Cała noc, w chłodzie i strachu, przesiadzieli w lesie i, patrzyli w bezsilnym żalu, jak dopalają się reszki zabudowań. Rankiem żona i dziecko zostawił w lesie, a sam ruszył ku swojej chacie. Wyszedł na skraj i wtedy pierwszy raz ujrzał niemieckiego żołnierza. Tamten też go dojrzał, w jednej łapie pistolet, w drugiej granat i wrzeszcz okropnie po swojemu. Nowak idzie z wolna, w tym „woim zielonym mundurze, ze strzelbą na ramieniu, a tamten już nogi rozstawił szeroko, już mu palec ściska po spuście. Dopiero znajoma Niemka krzyknęła ostrzegawczo, co by ręce podniósł do góry; uczynił to, żołnierz pościszczył i dokonał zwycięskiego rozbrojenia polskiego bandyty. Nawet, cholernik, nie rozróżniał mundurów gajowego wziął za polskiego żołnierza. Stał tedy Nowak w sa-

miejscu koszu nad spaloną chałupą, z której aby reszki podmurówki zostały i dziurawa, zasmolona podłoga.

3.

To były dwa najokropniejsze tygodnie w życiu, bez jedzenia, bez dachu nad głową, z chorym dzieckiem. Gajowy nie zdradził lasu, który go chronił i żywił przez tyle lat. Gdzież zresztą miał iść? Po tych złych tygodniach wrócił dziedzic z dziełem odwrotu. Osiedli w majątku. Nowak znów zaczął służyć, podreperował chałupę, stroił od nowa polamany bieg życia. Dla okolicznej ludności nastąpiły jeszcze gorsze czasy niżli za dziedzica, który siedział teraz cicho pod niemieckim butem. Gajowy mało dbał o to, że las ucierni ze strony Polaków. Niech biera drzewo — mówił sobie — dziedzic nie zubożeje, a zawsze można zwałić winę na Niemców. Oni byli tu teraz największymi panami, Cieli las bezsilnie, ale żeby być, tak na niby, w zgodzie z prawem, wynajeli gajowego do wyznaczenia drzew na spuszczenie z pnia. Wybierał drzewa sekorowane, jak najgorsze, byle by ino uratować drzewostan od wywózki na podbudowę hitlerowskich Niemiec. Często przebywał u dziedzica, gdzie gościł niemieccy dostojnicy. Rozumiał już ich szczelekliwą mowę na tyle, by w odpowiedniej chwili wysłuchał wiadomości o przymusowej „zbiorce kontyngentu” lub łapaniec i skoczyć do wsi z tzw. abcyngiem. Kiedyś szkopolom zachciało się poowania. Gajowy miał ich rozstawić na stanowiskach i podstawić dzika pod lufę. Nowak nie w ciemę bity, tak ich po stawiał zmiesznie i tak podęgał dziki, że te przeszły bołdem, Niemcy zaś waliłi zapamiętale w krzaki, aż jednego pobratynca lupnęli w nogę. Nie ustrzelili żadnego zwierzęcia w drugim polowaniu ani w trzecim, lecz już wtedy pomarkowali, co gajowy robił ich w lewo.

4.

Nie lubi mówić o swojej pracy. Cóż, chodzi w las, tropi złych ludzi, tak, są tacy. Iż to już młodych sarenek wychowało się w jego obęściu. Klusownicy pozabawili je matek. Sarenki odrastały i szły w las. Zimą dokarmia zwierzęta, sarny jedzą mu niemal z ręki. Jest bardzo skrupulatny, u niego nie zginie żaden kwit z obróbki drzewa. Zdarzają się kradzieże. Wtedy jego łagodność nie wytrzymuje zetknięcia z przestępstwem. Bo jakże tak? Przed wojną las był dziecicowy, ludzie biedni, a dziś mają gospodarstwa, dorabiają w mieście i jeszcze im mało... Wytnie takie młode, jedne drzewo, co by jeszcze z dwadzieścia lat mogło czepać sok z ziemi, nabierać mocy i godnie posłużyć człowiekowi. A on wie, które drzewo chore, „sa-

nitarne”. Sosna sypie igliwem, zmienia barwę, szarzeje, tak jak człowiek. Piękny jest zawód leśnika. Tak myśli wielu ludzi, którzy bliżej się z nim nie zetknęli. Tu praca trwa przez cały, okrągły rok. Latem jeszcze gorzej niżli zimą. Ludzie walą gromadami, okolica podłódzka przecięła. Trzeba tłumaczyć jak dzieciom, niemal z ręki wyjmować papierosa. A ile krzewów polamanych, jakie sterty śmieci! W poniedziałki Feliks Nowak musi się podbawiać w szmaciarzal Chodzi, zagłada na polanki i zbiera buteleczki po wyodróżnionej, znajomej zawartości. Niech ino słonko zagapi się w takie szkieleto, a nieszczęście gotowe. W praktyce może się sprawdzić najkrótsza nowelka świata: „Był las, była wyłeczka i... nie ma lasu”... Najgorsze dni przed Bożym Narodzeniem, kiedy run wielki na darmowe choinki. Wlezie taki mgłanc na czubek, gdzie niełatwo wymarkować, czy choinka sposobna. Spuści na ziemię, widzi braki, więc idzie dalej. Pozostają na zawsze okaleczone drzewa. Gajowy sadzi nowy las. Ludzie go lubią i szanują, ale nie bardzo się ganią do pracy. Mało płatna. W czasie wakacji chłopaki wiele pomagają swemu gajowemu. W jednym miejscu Nowak uśmiecha się. Broni zwierząt przed kłusownikami, a one, dzięki dla przykładu, odpłacają mu się złodziejwym ryciem ziemniaków. Czy odpowiednio traktują go władze zwierzeńnie? Pensję to miał wyższą przed wojną, ale... panie, 43 lata w lesie, w tym roku ide na rentę. U dziedzica w tym wieku już by mnie nie było. Wyrzućliby na pysk, bo bym nie srosnął bęganu po lesie i tronięniu ludzi. A teraz spokojne życie, do ostatka...

Nie odeszł stąd, choć emerytura zwalnia go z obowiązku, nie odeszł, bo już nie znalazłby nowego miejsca w życiu. Las szumi wokół domu, szemrze cicho, drzewa podają dalej zawołanie kukulki.

Nie odeszł stąd, choć emerytura zwalnia go z obowiązku, nie odeszł, bo już nie znalazłby nowego miejsca w życiu. Las szumi wokół domu, szemrze cicho, drzewa podają dalej zawołanie kukulki.



wali tam miedzko wapienne, żeby całkowicie zlikwidować skutki awarii.

Drużyna odkazania i dezaktywacji przeprowadziła pomyślnie niejedną akcję ratowniczą. Ostatnio, przypomnia sobie Antoni Michalak, trzeba było ratować przed zamknięciem włókno w magazynach, do których wdarła się woda z roztopów. Po prostu przenieśli bele w takie miejsce, gdzie woda nie miała dostępu.

— Nie prowadzimy niebezpieczeństwa — mówi Michalak o swojej drużynie — ale jesteśmy gotowi do akcji.

3.

Niedaleko ulicy Milionowej, która w tym miejscu przechodzi w bez mała polną drogę, rozpoczęto wykopy pod fundamenty i stanął szkielec nowej fabrycznej hali. Tutaj rozlokują się nowy oddział „Anilany” — wytwórnia szklanego jedwabiu.

Te cieniutki, błyszczące włókienka są życiową pasją inżyniera Stanisława Szpionki, który przyszedł do zakładów piętnaście lat temu z nakazu pracy i przez blisko piętnaście lat walczył o szklany jedwab z poczucia społecznego obowiązku.

Inżynier wylęca zalety tego włókna: wysoka odporność na temperaturę oraz na zrywanie. Wylęca też zalety jego produkcji która nie daje żadnych zanieczyszczeń atmosferycznych i praktycznie nie wymaga wody. Jest więc to włókno wynalazca jakby specjalnie z myślą o Łodzi, gdzie o wodę trudno i gdzie dużo pyłów unosi się w powietrzu.

Szpionek potrafił wywalczyć w zakładzie kąk i uruchomił stację doświadczeń. Dysponował zdewastowaną aparaturą niemiecką porzuconą przez okupanta, ale okazała się całkowicie nieprzydatna. Trzeba więc było zacząć od konstruowania urządzeń, przez co opracowanie technologii odwiekało się.

Pierwsze włókno z prawdziwego zdarzenia udało się wyprodukować inżynierowi Szpionkowi w roku 1960, Fabianickie Zakłady Tka-

nin Technicznych, które pracowały na surowcu z importu, przesyłały gratulacje. Zdawać by się mogło, że teraz polski jedwab szklany stanie się przedmiotem narodowej ambicji.

Początkowo rzeczywistość zanosiło się na wielki, osobisty sukces inżyniera Szpionki. Zdecydowano się uruchomić produkcję włókna szklanego w skali przemysłowej. Potem jednak zupełnie nieoczekiwanie decyzja ta została cofnięta. Dla człowieka, który sprawił tej poświęcił całą swoją młodość, był to cios prosto w serce. Na inżyniera zaczęło patrzeć, jak na bankruta, współpracownicy uciekli, zespół „rozpułnął się” po kraju.

Przemysł szklarski, który pośrednio zadał Szpionkowi cios, rozglądał się za zakupem licencji za granicą. Dni inżyniera zdawały się więc policzone. Zwyciężył jednak rozsadek. W końcu 1965 roku na najwyższym szczeblu dano technologię inżyniera Szpionki zielone światło. W ten sposób została zlikwidowana w Łodzi największa w Europie wytwórnia szklanego jedwabiu.

Alle inżyniera Szpionki w dalszym ciągu prześladowe jakieś ślepe fatum. Wprawdzie budowa wytwórni ruszyła, wprawdzie zamówiono już aparaturę krajową i zagraniczną, lecz autor technologii szklanego jedwabiu ma uzasadnione prawo do obaw. Mimo, że wytwórnia ma zgodnie z założeniami ruszyć już za rok, zakłady „Anilana” nie otrzymały do tej pory dewiz na zakup skrawarek, maszyn, bez których nie można sporządzić przędzy. Idzie o sumę niebagatelną, 700.000 dolarów, ale produkcja jedwabiu jest tak rentowna, że skrawarki zapracują na siebie w ciągu czterech miesięcy. Każdy dzień opóźnienia rozrachunku wytwórni da jednocześnie straty sięgające dziesiątków tysięcy dolarów.

Inżynier Szpionek, który ma pełną świadomość wszystkiego, co dotyczy spraw wytwórni, żyje w ogromnym nerwowym napięciu.

— Jako młody chłopak — stwierdza — wyobrazałem sobie wszystko o wiele prościej. Raz kopaliśmy ziemię, którzy z chłopców wziął trochę piasku na szpadel i powiedział: widzieli, tu jest co tylko chcicie. To można przerobić na złoto, węgiel, platynę, przetopić. Było to naiwne, ale jakże jednocześnie słuszne. Chemia może wszystko. Ale siły ludzkie są ograniczone. Proszę wybaczyć...

Oddziałem anilany, od której wzięły nazwę całe zakłady widzowskie, kieruje inżynier Czesław Pałuba, absolwent Politechniki Łódzkiej. I on trafił do fabryki z nakazu pracy, ale to, co przed laty było nakazem, stało się dla niego wyborem.

Wytwórnia anilany mieści się w niebieskim, nieco ekscentrycznym budynku, którego architektoniczny wystrój bardziej kojarzy się z jakąś nowoczesną budowlą mieszkalną niż z produkcyjnym oddziałem — tu chciałoby się zamieszkać. Wnętrze wytwórni także szkokuje i drażni nasze wyobrażenia o halach fabrycznych: przy długich ciągach produkcyjnych prawie nie spotyka się ludzi. Jest to labirynt automatów pracujących na pierwszy rzut oka jednostajnie, bez pośpiechu, ale z jakąś przerażającą precyzją.

Sercem wytwórni jest sterownia pełna czułych, drgających zegarów kontrolnych. Na początku ludzie trochę ich się bali, teraz już przywykli. Nie ruszając się z miejsca wiedzą wszystko o przebiegu procesu produkcji. Łańc z tych zegarów nie odczyta nic.

Na anilane, białe, puszyste runo, składa się trzydziści blisko składników, które podane zostają polimeryzacji ciągłej w rozpuszczalniku. Rurami, wannami płynnie roztwór przedzielniczy o konsystencji miodu.

Inżynier Pałuba wtajemnicza mnie stopniowo w tajniki produkcyjne. Zna te zagadnienia doskonale, gdyż jeszcze przed uruchomieniem wytwórni anilany (licencję zakupiliśmy od Anglików), pracował w widzewskich zakładach na oddziale doświad-

czalnym, gdzie prowadzono badania nad włókniami poliakrylonitrylowymi w skali półtechnicznej. Na oddziale tym opracowano technologię przedzenia.

Anglicy mieli w tej dziedzinie większe doświadczenie, technologia angielska należy do najnowocześniejszych w świecie. Dlatego też trudno jest ją opanować. Wiele krajów, które także zakupiły tę samą licencję, nie umie sobie poradzić z kłopotami produkcyjnymi. Wystarczy przecież drobne zanieczyszczenie któregokolwiek z surowców, a o to znów wcale nie trudno, aby na długo stanęły skomplikowane agregaty.

„Anilana” stanęła przed takim problemem dwa lata temu. Urządzenia musiano zatrzymać i rozpoczęto żmudne poszukiwania przyczyny awarii. Zdawało się, że nigdy nie uda się tego dokonać, ludzie bez mała nocowali w wytwórni, inżynierowie piekliłi się, robotnikom też udeślił się nastrój wielkiego oczekiwania. Wreszcie sięgnięto do ostatniej deski ratunku: po Anglików. Pomoc nadeszła szybko, ale była już spóźniona — zakłady pracowały od dwóch dni, ludzie „Anilany” poradziłi sobie sami. Anglikom, zdaje się, zaimponowało to, choć nie dali po sobie poznać. Zresztą mieliby więcej powodów do zdziwienia. Zgodnie z gwarancją dwa ciągi produkcyjne powinny dawać wydajność 4500 ton, zaś najnowsza linia przedzielnicza jeszcze 3.000. Na Widzewie produkują się o 500 ton więcej. To już wynalazek rodziny, własny — po prostu zwiększono ilość substancji włóknotwórczej w polimerze.

Myśl techniczna „Anilany” stoi, jak wiadać, wysoko. Kosztuje to cały zespół wiele pracy, ale nikt się nie skarży. Zresztą najbardziej męczące jest tutaj ciągłe nerwowe napięcie: tutaj liczą się sekundy, a alarmowe sytuacje, kiedy w mgnięniu oka trzeba podjąć decyzję, są niemal czymś naturalnym.

— Nowy jest każdy dzień — powiada inżynier Pałuba. — To najważniejsze słowo.

ANDA LUZJA

Henrykowi Płociennikowi

1.

Przez cały tydzień Kaftan szył Rudemu buty. Układał różne podstępne plany, przetrwał je i odrzucał. Wreszcie jednego dnia, po kolacji, mówi do mnie:

— Pójdiesz nad kanał, tak? A ja obstawię cię z tyłu. I możesz się w ogóle nie martwić, bo jestem czujny. Jak przyjdzie sama, to powiesz jej parę słów ode mnie, gdyż ja nie mam tych pierwszych słów i dopiero potem się rozkręcę. A jak przyjdzie z Rudym, to musisz sprokocować Rudego, żeby cię uderzył, i żebym ja później jego mógł uderzyć, tak? Powiesz: mógłbyś w końcu ufarbować ten swój rudy łeb! Coś w tym sensie.

Poszedłem. Była akurat godzina Andaluzji. Cztery saksofony w restauracji Astoria grały pospólną Andaluzję — jak co dzień o zmierzchu, kiedy kutry wracały z morza i wchodziły wolno do kanału. Kanał był czarny i śmierdział rybą, a kutry były żółte i ociekały rybnią posoką; cumowały do osłizłych brzegów i rybacy w długich gumowych butach za kolana wyskakiwali na ląd.

Barczysty rybak, siwy, z brodą jak sopel lodu podszedł do Rudego.

— Gdzie Majka? — zapytał rybak.

Rudy wskazał na dziewczynę; szła od miasta, wymachując białym koszykiem.

— Dobra — powiedział rybak. — Zaczekajcie, a ja się migiem przebiorę. Dwie minuty. — I odszedł do swojego kutra, który chwiał się przy moście na mizernej fal.

Rudy przywitał dziewczynę. Pocałunkiem. Usiedli na pstrokatej ławce z czerwonych i żółtych desek. Wzięli się za ręce.

Stałem za nimi drżąc od nerwów. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Bałem się, że zaraz wróci ten siwy rybak, a z takim drabem, to nawet Kaftan mógłby mieć ciężką przeprawę. Prysną — pomyślałem. Ale dostrzegłem Kaftana. Cwał się za drzewem gotowy do akcji. Poganiał mnie ruchem ręki. „No! no!” — krzyczał bezgłośnie, krzywiąc się ze złości, a mnie zaschło w gardle i słowa wydusić nie mogłem, choć zaczępkę ułożoną miałem w głowie. Stałbym tak chyba do skończenia świata, ale Rudy przyszedł mi z pomocą. Coś go musiało uderzyć w moim zachowaniu, bo odwrócił się nagle i powiedział:

— Ty, zjeżdżaj stąd! Ale już!
— Co: zjeżdżaj — mówię. — Chyba każdemu wolno stać, gdzie mu się podoba?

— Stać to wolno. Ale nie lubię, jak mi się ktoś kryje za plecami i podgląda.

— Wcale nie podglądam. Pewnie myślisz, że twój rudy łeb podglądam!

— Wszel — wrzasnął Rudy i zerwał się z ławki. — Zastąpiłem twarz, ale przebił pięścią moje ręce. Upadłem na czarną wilgotną ziemię i usłyszałem saksofony grające w Astorii, głośno, wyraźnie, jakby cały świat był salą koncertową o wielkich kamiennych sklepieniach. Słyszałem ostre wibrato altów, ciężki przydech tenorów i każdą najkrótszą nawet nutkę z czterogłosowym akordzie. A potem muzykę przyluszył urągliwy śmiech dziewczyny. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Rudy idzie na mnie z opuszczonymi rękami... Jego nogi w niebieskich, spranych farmerach. Wiedziałem, że będzie kopał. Przystąpiłem twarz, podciągnąłem kolaną pod brodę, chciałem, żeby to było już! Poczulem tepę uderzenie w brzuch, czekałem na drugie. Wtedy usłyszałem krzyk Kaftana, skowyt Rudego, głuche uderzenia pięści, i kiedy wreszcie Kaftan dźwignął mnie z ziemi, Rudy leżał nad brzegiem kanału z rozrzuconymi rękami i krwawił z rozbitych warg.

A Majka nie szła mu z pomocą. Patrzyła na Kaftana. Powiedziała:
— W tym kraju nie wolno uderzyć człowieka, jeśli sobie przychodzi nad wodę patrzeć trochę na rybackie statki. No, niech pani sama powie: wolno, czy nie wolno?

Podeszliśmy do niej, blisko, i poczułem słony zapach potu; wysoka, gibka dziewczyna o włosach wytrawionych przez słońce, białych i puszczonych na wiatr. Powiedziała:

— Rudy się chwalił, że może cię załatwić jedną ręką, że może cię spokojnie rozwalić, chociaż jesteś taki duży. A przecie wyszło inaczej...
— Każdy w końcu trafi na swego — powiedział Kaftan.

— Wziął ją w pód i przytulił się do niego, jakby się znali od lat. Nic z tego nie mogłem zrozumieć. Nie! Wiem tylko, że przeszliśmy przez drewniany, rachityczny mostek na drugą stronę kanału i muzyka z Astorii kładła się na wodzie, klarowna i czysta, i Majka pytała, komu grają saksofony, a Kaftan krzychał: „Nami nami!”. By-

ło mi głupio i obejrzałem się za Rudym; przez mrok, mgłę co szła od wody, zobaczyłem jak ten rybak, barczysty i siwy, pomaga Rudemu wstać i wloka się obaj do kutra przy moście, roztopionego w oparach wieczoru. Rybak patrzył za nami, ale Kaftan ani Majka o tym nie wiedzieli, bo byli zajęci sobą i ciągnęli do muzyki jak ćmy do światła.

A pod Astorią niewiele brakowało do następnej draki, gdyż nie było wolnych stolików. Więc Kaftan szarpał się z cerberem-wykidajką, żeby nas wpuścił, a tamten, drągał o przepiętą twarz, powiedział: „Nie! Za Chrystusa!”. Stał twardo w drzwiach, zaciskając wielkie pięchy i już Kaftan miał uderzyć, żeby się popisać przed dziewczyną, ale ona powiedziała:

— Daj spokój. Przecież możemy tańczyć na dworze.

Objęła mnie mocno i była jak rozprażone szczenię, gorąca i miękka. Mógłbym z nią tańczyć całe życie. Ale Kaftan krzyknął: „Odbijany!” Zabrał mi Majkę. A potem znowu była ze mną, i znowu z nim. Z godzinę chyba tańczyliśmy na zmianę w rytm gorących saksofonów. A później jakieś dzieci słońca, odrzucone przez cerbera z Astorii — trzech chłopczków brudnych jak nieszczęście i dziewczyna w wymiętej sukieneczynie — zagrały na gitarach i śpiewały „Noc po ciężkim dniu”, i tańczyliśmy w rytm big-beatu. Aż wreszcie poszliśmy nad morze, kąpaliśmy się nago, i w chłodnej słonej wodzie Majka została nasza, tak naprawdę.

2.

Była noc, długa i spocona, w pokoiku na strychu rybackiej chałupy, omszałej i lepkiej od wilgoci. Śpiew saksofonów i krzyk pijanych marynarzy wpadał przez otwarte okno z podmuchami wiatru, a cienie drzew tańczyły na ścianach w świetle ulicznej latarni.

Nie wiem nawet, kiedy zasnąłem, a obudziłem się o pierwszym brzasku i leżałem z zamkniętymi oczami, udając że śpię i słuchając ich rozmowy. Mówiła:

— Najbardziej, to lubię Armstronga.
— Za co? — pytał Kaftan. — Za grę?
— Nie. Za śpiew. Śpiewa taką piosenkę „Pocałunki twoje nocą uczyniły mnie szczęśliwym”. Znasz?

— Aha.
— No to ja zawsze widzę te jego wargi, ogromne i poróżnione ustnikiem. Żywe mięso. I zawsze mam dreszcze...

Też miałem dreszcze i palił mnie wstyd — za Kaftana, za Majkę, za siebie. Za całą tę cholerną noc. Ranek jest mądrzejszy od wieczoru. Rankiem przychodzi do człowieka jasne myśli, wie co dobre, a co złe. Więc leżałem na twardym, szerokim łóżku przy samej ścianie na wznak i nie otwierałem oczu, bo palił mnie wstyd. I mój wstyd jeszcze się zwiększył, pogłębił, kiedy Kaftan wyskoczył do spódnicy po bułki i zostałem z nią sam. Głaskała mnie po twarzy i po pierśsiach, a ja nie mogłem zapanować nad oddechem, powieki drżały mi od światła, czułem jej wzrok, nie, już dalej udawać nie można, chciałem przeciągnąć się i wstać... Wtedy Kaftan wrócił ze sklepu, a Majka poderwała się z łóżka i zeszła na piętro do łazienki. Ubiarałem się w pośpiechu, a Kaftan szykował śniadanie mrużąc pod nosem Andaluzję. „Żle, źle jest, Kaftan!” — mówiłem. Popatrzył na mnie i puknął się w czoło. „Co jest źle, frajerze! Co jest znowu źle!”. Więc zwierzyłem Kaftanowi swoje wątpliwości. Śmiał się, jak to on, głośno i z pogardą.

— Zawsze wszystko chcesz popsuć — powiedział. — Ja się staram, żeby wakacje były jak trzeba, żeby ci na niczym nie zbywało, a ty chcesz wszystko popsuć.

— Nie chcę niczego psuć. Ale ten rybak nie daje mi spokoju. Wciąż o nim myślę.

— Więc nie myśl.
— To czemu pytał Rudego o Majkę?
— I prosił, żeby na niego poczekali?
— Skąd wiesz?
— Ona mi powiedziała. Jak spałeś. Bo słuchaj: Rudy jest goły, tak? Nie ma pieniędzy. A rybak ma kupę pieniędzy. Daj Boże, żebyśmy kiedyś w życiu mieli tyle pieniędzy. Więc Rudy i Majka chcieli go naciągnąć na wódkę w Astorii, i żeby ich zabrał w morze swoim kutrem...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wróciła Majka. Siedliśmy do stołu i jedliśmy w milczeniu. Kaftan stracił na humorze. Ślepił z uporem w biały, gęsto pocerwany obrus z lichutkiego płótna i żuł bez apetytu, a ja czyniłem wysiłek, żeby spojrzeć na dziewczynę w blasku dnia. Miała małe krwiste usta, trochę piegów na nosie, włosy wilgotne od mycia, zaczesane w bok na czole, proste i plove jak to nieraz u wiejskiego chłopaka. Ale jakie miała oczy, to jeszcze wtedy nie wiedziałem. Bałem się spojrzeć jej w oczy.

3.

Trzy dni przeżyliśmy razem i mój wstyd wypalał się szybko, do szczytu. Mówię prawdę. W takim młynie człowiek przestaje myśleć, głowę ma pustą jak kościół.

Czas, to tak mi się wtedy poplątał, że nie wiedziałem, co było wczoraj, a co przedwczoraj. Wiem tylko, że Majka ani razu nie wyszła z domu, a po zakupy, to chodziliśmy z Kaftanem na zmianę, unikając naszej gospodyni.

Pamiętam także trzeci dzień. Rano Majka wyprała nam koszule. Wieczorem leżała w łóżku, a my z Kaftanem popijaliśmy przy stole wino z ciężkich kaszubskich kubaśów, okryci kocem, bo piżam nie mieliśmy, a nasze koszule schły jeszcze na nylonowej żyłce w otwartym oknie i łapały wiatr. Z dworu szedł chłód późnego sierpnia. Akurat kutry wracały z morza i wyły żałośnie syreny. Nie raz dało się usłyszeć saksofony z Astorii, przeciągły syk altu, grającego Andaluzję i ponury riff tenorów. Jak



Z tekstu E.T.F.

Fot. L. Janczak

grały saksofony, to Majka słuchała, patrząc nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt na ścianie. Nie lubię u dziewczyn takiego wzroku. Gdy dziewczyna zamyśla się głęboko przy muzyce, to znaczy, że wspomina i tęskni. Ale Kaftan tego nie widział. Był szczęśliwy i kiedy dopiliśmy flaszkę cierpkiego, owocowego wina, rozpoczął niespodziewanie wielką improwizację: wychwalał bełkotliwie gospodarność Majki, że tak pięknie wyprała nam koszule, zachwycał się, że ona wcale nie wychodzi z domu, podczas gdy inne dziewczyny baraszkuje na plażach i garna się wieczorami na dąsing. Wreszcie zdradził nam swoje plany. Po wakacjach — mówił — jak wrócimy do miasta, to nie będziemy się na nie oglądać, tylko wynajmiemy sobie mieszkanie w śródmieściu niechby nawet kosztowało pięćset złotych. Zamieszkamy w trójce, i mało nas obchodzi, co sobie o tym pomyśla nasza rodzina i znajomi. Takie różne rzeczy mówił, podpalając się mocno. W końcu urwał, zdziwiony naszym milczeniem. Podeszedł do Majki i zapytał, czy tak.

Skinęła głową i nie powiedziała ani słowa. Ona w ogóle nie mówiła za wiele. Właściwie, to umiała mówić tylko o muzyce, o piosenkach Armstronga i tych jego cholernych, przeoranych ustnikami wargach. A tak, to każde słowo trzeba było z niej wyduszać. Skinęła głową i złapałem wtedy jej wzrok. Wszystko nagle zrozumiałem. Dlaczego opuściła Rudego i poszła z nami. Nigdy nie wierzyłem, że pójdzie. Kaftan też nie wierzył. Tam, kiedy tańczyliśmy na ubitej ziemi pod Astorią, i w morzu, kiedy najprzód odplynęła ze mną, a on czekał po pas w wodzie, drżąc z niecierpliwości, i zabrał mi ją potem, trochę siłą, żeby mieć, czego pragnął — był chyba bardziej zaskoczony, niż ja. Ale wystarczyło trzech dni i butelki wina, aby nabrał pewności, i kiedy skinęła głową, że się zgadza, uwierzył.

I to było trzeciego dnia wieczorem, a czwartego przed południem dostałem telegram od ojca, że mam się stawić nazajutrz w mieście przed komisją poborową. Dostałem także przekaz na dwieście złotych z dopiskiem: „To na pociąg, synku, i nie rób głupstw!”.

Kaftan dał listonoszowi piątkę, wyprawił go za drzwi i powiedział:

— Na pociąg wystarczy ci setka. Nie musisz jechać pierwszą klasą. A za resztę moglibyśmy coś wtrząchnąć w Astorii. Tak, Majka?

Tak.

Powiedziała to cicho i nie patrzyła na mnie. Byłem na nią wściekły. Ale zrobiłem, jak chcieli. Poszliśmy do Astorii. Zjedliśmy su-

ty obiad z trzech dań i wypiliśmy dużo piwa, a Majka wypila najwięcej.

Potem główną ulicą miasteczka wleliśmy się na dworzec, pijani od piwa i powietrza.

Było już pod zachód słońca. Zbierał chłód i z wiatrem wilgoć szła od morza. Mewy kołowały nad dachami skrzecząc gwałownie. Ostatni lotnicy okutani w piaszczyste ciążki nad kanał, a niekiedy, z ciężkimi walizkami w rękach, telepał się z nami na stację. Czulem smutek odjazdu. Wiedziałem, że już tu nie wrócę i wzięłem Majkę za rękę. Kaftan zaraz zrobił to samo. Ucisnąłem lekko końce jej palców. Ale nie oddała mi pieszczoty. Jej ręka była zimna jak ryba wyluskana z lodu. Spojrzałem na nią ukosem i nagle kołnął mnie strach.

Szliśmy akurat skrajem parku. W głębi, pomiędzy skarlałymi świerkami stała ławka z poczerpalanych desek. Rudy siedział rozparty i chłód papierosa. A siwy rybak chyłkiem zacił i uśmiechał nam drogę.

Teraz dopiero zobaczyłem, jaki on zwalisty i nabyty. Szarżował z pochyloną głową prosto na Kaftana. Myślałem, że uderzy.

— Dobry wieczór dla szanownego państwa. Złapałem Kaftana za rękaw.

— Chodź, spóźnimy się na pociąg.
— Zostaw ich — syknęła Majka. Odepchnęła mnie. — Oni mają się bić!

— Bić!? — zaśmiał się rybak. — Nie mam z kim się bić.

Kaftan poczerwiał ze złości. Zwinął pięści i podszedł brakujący krok. Stali teraz twarzą w twarz.

— Po co się tak denerwować — mówił rybak i uśmiechał się łagodnie.

— No, pokaż się, ty cwaniaku!
— Nie jestem cwaniakiem — powiedział rybak. — Nie znam pana i nie panu nie zrobiłem.

Niewiele z tego rozumiałem. Majka zagryzła wargi, jakby miała zaraz płakać. Rybak mówił monotonnym, spokojnym głosem, że nic złego nie zrobił, nie zna Kaftana i w ogóle. Kaftan zaczynał wierzyć. Otworzył pięści i opuścił powoli ręce, i nie miał już złości na twarzy, tylko naiwne zdziwienie. I to go właśnie zgubiło, bo rybak wystrzelił zleniacka, perfidnie, grubo poniżej pasa, i to był od razu nokaut. Kaftan zwał się ciężko na chodnik. Podskoczył do niego Rudy. Wtedy rybak uderzył Rudego, splunął i odszedł. I Majka pobiegła za nim, ale odepchnął ją, i powiedział coś, czego nie słyszałem, czego najwyższe mogą się domyślić i co było najprawdziwszą prawdą.

ŚWIĘTO BALETU

Dalszy ciąg ze str. 1

cja ocen trzeba poczekać. Poczekać co najmniej do następnych Spotkań, kiedy zobaczymy w Łodzi nasze najwazniejsze zespoły baletowe. Jak wiadomo w tym roku nie wystąpiły balety Warszawskiego Teatru Wielkiego i Poznańskiej Opery. Na przeszkodzie stanęły wojaze zagraniczne. Ufamy, że przyjadą do nas za rok, po cöz miano by nad Wisłą i Wartą daśać się na Łódź i zlekecważyć za proszenie. Przyszle Spotkania nie ograniczą się zapewne do udziału krajowych reprezentacji. Już teraz ogladalismy zespół baletowy z lipskiego teatru, z którym Teatr Wielki nawiązał bliższe kontakty, m. in. na zasadzie wzajemnych wizyt. Trzeba dołożyć starań, aby nie zawęzić tych wizyt do jednorazowych, gościnnych występów — nie największy z nich profit — trzeba dążyć również do indywidualnej wymiany artystów (solistów, reżyserów, choreografów); wystarczyło zobaczyć jeden lipski spektakl, aby namawiać gorąco do rozwinięcia podobnych form współpracy.

Troską i ambicją organizatorów będzie podniesienie rangi Spotkań przez przywoływanie do Łodzi najlepszych i różnorodnych pod względem artystycznym ensemble. Organizatorzy mogą w tych usiłowaniach liczyć na nasze całkowite wsparcie. Lipsk winien pozostać na zagranicznej liście, lecz nie wyobrażamy sobie przyszłych widowisk baletowych bez radzieckich tancerzy, którzy w tej sztuce są potęgą światową. Nie orientuje się czy uda nam się od razu zaprosić balet moskiewski lub leningradzki, wlem natomiast, że i w mniejszych ośrodkach działają świetne zespoły. Zyjemy w czasach planowania, toteż nie jest wykluczone, iż przy zapobiegliwości z naszej strony a dobrej woli ze strony aranżerów z PAGARTU przyjazd obcego baletu lub solisty zsynchronizuje się z kalendarzykiem Spotkań. Warto już teraz powzdychać sobie: Bejart, Robbins, New York City Ballet Fontay, Nurujew...

Tymczasem posmakujmy jeszcze w tym co nam dano. Poza łódzkim pokazem, na który złożyły się dwa balety („Pan Twardowski” L. Różyckiego i „Jezioro Łabędzie” P.

Czajkowskiego) w kolejności wystąpiły: Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka w Gdańsku („Niobe” J. Luciuka, „Tytania i osioł” Z. Turskiego oraz „Pancerńk Patiomkin” J. Luciuka, choreogr. reż. i insc. J. Jarzyny-Sobczak, scen. A. Ronczewska Afanasjew), Państwowa Operka w Warszawie („Różowe Balety” J. Smoczyńskiego, choreogr. J. Kapliński, scenogr. K. Wiśniak i „Bagatela” J. Straussa, choreogr. J. Kapliński, scenogr. A. Kilian), Państwowa Opera we Wrocławiu („Porwanie w Tiuturliście” J. Szajny-Lewandowskiej, inscen. i choreogr. Klara Kmitto i Maksymilian Mróz, scenogr. A. Rachel oraz „Dziadek do orzechów” P. Czajkowskiego, choreogr. i reż. R. Sobiesiak, inscen. i scenogr. T. Gronda), Opera i Operka w Bydgoszczy („Legenda o miłości” A. Meliko wa, choreogr. H. Miller, scenogr. R. Bublec) wreszcie dwa ostatnie wieczory zajął Teatr Miejski z Lipska („Abraxas” E. Egka, choreogr. i inscen. E. Köhler-Richter, scenogr. P. Schöter).

Zaprezentowano zatem repertuar różnorodny z przewagą pozycji klasycznych, co wcale nie dziwi w tej sztuce, która swą wielkość a i trwałość zasadza na niewzruszonych regułach tańca klasycznego. Tutaj innowacje i eksperymenty zmierzają, wprawdzie w kierunku wywołania się z żelaznych rygorów pas i póż, lecz pozostając ciągle w ryzach dyscypliny, tyle, że już odmiennej; polegają one na szukaniu nowych i wzbogaconych środków wyrazu. Chodzi o wciągnięcie w grę całej aparatury ciała, co dynamizuje ekspresję i podporządkowuje ją innym nieco funkcjom. Rozszerzony system znaków uznający każdy środek wyrazowy byłoby usprawiedliwiony materia i idea tematu anektuje w sposób oczywisty rozleglejsze niż w klasycznej wizji baletu obszary. Pierwszym celem bowiem jest przekazywanie doznań, uczuć i doświadczeń współczesnego człowieka, określenie i wypowiedzenie świata. Wtargnięcie tematyki społecznej i politycznej, inwazja sexu, rehabilitacja codzienności musiały przeobrazić nie tylko „rzeczywistość” muzyczną, odkształcały się także w sferze ruchowej, w konieczności komponowania nowych układów plastyczno-przestrzennych. Takich układów, które by miały siłę i skutecz-

ność uogólnień i odniesień. W podobnym kierunku zmierzają poetyckie eksperymenty np. Jarzyny-Sobczak, jakkolwiek respektuje się tutaj technikę klasyczną, a przynajmniej stanowi ona punkt wyjścia do nowych rozwiązań. Zwolennicy tańca klasycznego i zastygłych pejzaży orientalnych bądź romantycznych niechętnie aprobaują ów proces likwidatorski, po prostu natarczywie samego życia. Niesłusznie. Lecz kwestia to gustu i nawyku. Zżymając się na uduwienienia, na rugowanie tańca na rzecz czystej akrobatyki czy wręcz czołgania i innych nie skoordynowanych ruchów, trudno przecież pozostać obojętnym i nie czułym na nowy język i na nową urodę tańca. Inna sprawa, że pomimo oczywistości takich przeobrażeń, potwierdzonych choćby wspaniałymi sukcesami artystycznymi (począwszy od M. Fokina) dramaturgia baletowa przez lat siedemdziesiąt, tj. od czasów wielkich baletów Czajkowskiego nie przeżyła poważnych postromantycznych modeli stworzonych przez Petipa i Iwanowa. Ciekawe, że schemat formalny i materia fabularna rodem z romantyki pozostały obowiązujące i wiążące dla struktury wieloaktowego baletu i to pomimo choreograficznych i muzycznych rewolucji naszego stulecia (por. balet Diaghilewa). Nawet radzieccy choreografowie nie odrzucili tej struktury, zadowolili się tym, że uelastycznili jedynie romantyczny model, rozszerzając go — nasycając społeczno-polityczną problematyką, respektując, co istotne, w zasadzie i kanony klasycznego tańca i poetykę realistycznej inscenizacji. Czy opór, jaki stawia dramaturgia baletowa, bez względu na jej rodzaj (dramatyczny czy abstrakcyjny), można wyjaśnić do końca nakazem pielęgnowania tradycji tak właściwej dla tej sztuki? Nie, albo raczej niezupełnie tak jest. To prawda, że struktura jest genialna, dlatego może żywotna, swoisty „konserwatywizm” w tej mierze ma swoje głębsze racje, jest, jak mi się wydaje, podtrzymywany przez szeroką publiczność, jej przyzwyczajenia i upodobania. To publiczność jest w swej masie oportunistyczna, mądre konserwatywna, uparcie chce pozostać w kręgu sentymentalnej i romantycznej mitologii, pragnie patrzeć na metamorfozy dziewięc w labędzie, przysłuchiwać się szepotom nimf i rusalek; błędnych rycerzy i triumfujących utopistów; stąd bierze się sugestia „syfidoowego” stylu. A może jest w tym urzeczaniu jedynie przywiązanie do wzruszających i przykładowych opowieści o miłości, wierności i szczęściu, do tej jednej właściwie, ale odmienianej w nieskończoność paraboli, która obdarza nas sztuką aż po śmierć. Cała sztuka nawitaminizowana jest moralistyką, każdy z nas, nieczym Orfeusz, poszukuje Eurydyki. Chyba nie przypadkiem balet „Don Kichot” Nabokova (Nowy Jork 1965), krytyka uznala powsechnie za najważniejsze dzieło wielkiego Balanchina, jego wstrząsający „Letter to the world”. Goście z Lipska, wyprawiając motyw faustyczny z tańca,

dali dowód wielkości tej uniwersalnej prawdy. Dlatego tak silnie odebrałem to widowisko.

Jeszcze coś. Fascynacją romantyką w balecie idzie w parze z gwałtowną potrzebą przeżywania złudzenia. Dawno wydano wyrok śmierci na teatralny iluzjonizm. Cóż z tego! Kto chodzi do Teatru Wielkiego, ten dobrze wie, jak często zrywają się oklaski przy otwartej kurtynie, z jakim uniesieniem, z jaką euforią wstępują tłumy w piękny, tekturowy świat spotegowany barwą i cieniem. Tak zdarzało się po wielokroć w czasie Spotkań, raz po raz szedł przez salę serdeczny aplauz. Ze już w XVII wieku, a więc u zarania opery, sztuka ta natychmiast wykorzystywała wszelkie zdobycze techniki iluzjonistycznej, jakże to zrozumiałe! A jaką rolę spełnia oprawa (kostium i dekoracja) w widowisku baletowym, mogliśmy się ostatnio przekonać. Banalna scenografia i mierne kostiumy obniżały z punktu walory choreograficzne spektaklu. Tak np. stało się z „Dziadkiem do orzechów”. Ale i dobry smak scenografa, nieuszlachetniony powściągliwością, działa ujemnie. Te skrajności, przechyliły w stronę pełnego iluzjonizmu, objawiają np. scenografowie naszego Teatru Wielkiego; Niemcy dali może najbardziej pouczającą lekcję w tym przedmiocie. Problem jednakże nie sprowadza się wyłącznie do malowania, niezbędna jest szczypta poezji. Te poezje w całej krasie i obfitości rozpyliła Alina Ronczewska w obu przedstawieniach, szczególnie w spektaklu „Tytania i osioł”. Podstawą jest tutaj, jak i zawsze, muzyka, wiązaniem jest natomiast choreografia. Nie wiem, czym tłumaczyć fenomen sztuki J. Jarzyny, niezwykłej, na wskroś oryginalnej; wrażliwością humanistyczną, wyobraźnią dramaturga, fantazją muzyczną? Nie przypominaj nikogo, zna z pewnością, lecz nie naśladuje mistrzów, szuka własnego ja artysty, w którym odnajdujemy oszołomieni nas samych. W tej partyturze błyszczą solo A. Boniuszko, lecz solo — kryształ, w którym zalumina się wszystkie tworzywa baletowej syntezy, powiadać mają jej konieczność, ale i bezwzględna konieczność tej indywidualności. Boniuszko ma twarz skłupioną, zmartwiałą, wystygłą; tak grała Niobe. Może tak gra zawsze, nie umiem powiedzieć, lecz tak grać powinna, gdyż dopiero tym przykuwającym „neutralizowaniem” mimiki, otwiera wielkość swego tańca.

Jej przeciwieństwem była na Spotkaniach Barbara Bittnerówna. Spazm wewnętrzny i tragiczną maskę Boniuszko roztopiła w uśmiechu, w pogodzie i rozkołysała wigorem. Cóż za płynność i krągłość tańca!

Nie urzekły mnie natomiast „Różowe Balety”. Zawile libretto narzuciło różne propozycje choreograficzne, fin de siècle mieszal się niby ze współczesnością, stąd wszystkie niekonsekwencje, i rozmałość, która nie raduje. Nie wiązały się z „tematem” intermedia przed kurtynką, wątpliwej zresztą proveniencji estetycznej.

Balet jest umiejętnością arcytrudną. Jak dykcja u aktora dramatycznego, tak równowaga (pewność postawy) u tancerza stanowi warunek opanowanego rzemiosła, fundament warsztatu. Przepatrując pod tym kątem zespoły, można było dostrzec, iż nie wszyscy posiadli w stopniu znakomitym aplomb. Poza Niemcami, najlepiej, jak mi się wydaje, prezentował się łódzki corps de ballet. Niech mi to nie będzie poczytane za samochwalstwo, za trąbienie lokalnej sławy, lecz trzeba to przyjąć jako pochwałę zasług i osiągnięć Witolda Borkowskiego. Oby tylko nie zapeszył!

W przedostatnim dniu Spotkań odbył się sympozjon, poświęcony problematyce baletu. Z wielu spraw, o których się tam mówiło, impulsywnie i rzeczowo, uderzył mnie jeden szczegół: oto balet pomimo stworzonego przez Labana systemu zapisu, nie utrwała w praktyce swoich widowisk. Sądziłem dotąd, że tylko teatr dramatyczny skazany jest na przemijanie. Lecz kłopot to wreszcie fachowców. Ważniejsze, iż z udokumentowanych relacji dyskusantów wynika, że istnieją realne siły i środki pomysłowego rozwoju sztuki baletowej w Polsce. Łódzkie Spotkania Baletowe 1968 (25. V.—3. VI.) potwierdziły jakoś tę opinię. Z niemalą satysfakcją dopowiadamy, że całą prawdę o polskim balecie będziemy mogli sami weryfikować na deskach Teatru Wielkiego.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Bez strachu

MÓJ DOM

Mój dom to dwie wielkie prastare oficyny, malutki budynek frontowy. Siedzę w jednej z tych oficyn w ciemnym zagraczonym mieszkaniu, wieczorami, po pracy lubie patrzeć w ciemność. Kiedyś, jako bardzo mały chłopiec, hałem się ciemności, z ciemnością polubiłem ja i ciemność jest dla mnie luksusem, rozrywką, czymś podobnym do kina, czy też do teatru. Gaszę światło, włączając ciemność tak, jak inni włączają telewizor. Moja ciemność nie jest ślepa — widzę w niej twarze sasiadów i tych żyjących i mieszkających, i tych, którzy zmarli i już nie mieszka. W moim domu mieszka sto czterdziestu osób — pięćdziesięciu dwóch mężczyzn i sześćdziesiąt dwie kobiety. Ponadto żyje wśród nas osiem psów, trzy koty oraz jeden, a jak niektórzy twierdzą, dwa duchy, usytuowane głównie w piwnicach. Ze stu czterestatu mieszkańców — ludzi sto czterdziestu osób jest zracjonalizowanych w określonych, rytmicznie przebiegających zajęciach i wymiarowych reakcjach — cze rej osobnie natomiast, to indywidualnie ekscentryczne o skłonnościach do reakcji niewymiarowych... Tych czterech to nakturknie — ludzie mroku — spośród tych stu czterdziestu każdy pragnie kontaktu z pozostałymi i czynnie i radośnie współżyje z pozostałymi i w sposób naturalny, ci czterech unikają nie tylko sto czterdziestu, ale pilnie i pracowicie każdy z nich unika trzech pozostałych — unikanie to jest zajęciem dość intensywnym, wyczerpującym. Stanowczo jednak wyklucza nuda i każdy z unikających może u kresu dnia z satysfakcją pomyśleć ilu to ludzi, rozmów, problemów udało mu się tego właśnie dnia uniknąć... Sądzę jednak, że po pewnym czasie unikający posunie się dalej, zapagnie uniknąć samego siebie, niektórych swoich myśli, uczuć, części swojej pamięci. Pocznie wykrajać z samego siebie jakąś część, którą może jeszcze obcować, a potem z tej części jeszcze jakąś część, Ci unikający martwią mnie, za bardzo zajęci są sobą, czastka siebie wreszcie. Być może i ja jestem jednym z nich — chociaż ja wiele myślę o innych, lecz myślę w ciemności. Jeszcze mniej niż o ludziach, wiem o współmieszkających psach i kotach. Słyszę, że niektóre z nich wyją, inne szczełają, lecz trudno by mi było wskazać palcem psa wyjącego, psa szczełającego a najtrudniej psa milczącego. Koty aktywizują się tylko w marcu — w innych miesiącach żyją swoim ukrytym zakonspirowanym życiem. Jeszcze trudniejsza jest sprawa duchów — sam jestem skłonny kwestionować ich istnienie, jednak niektórzy czcigodni starzy sasiadzi widzieli i słyszeli owe duchy wielokrotnie, może zresztą był to tylko jeden bardzo czynny duch. Jeżeli był, to czego chciał w naszym domu — dlaczego nie wypowiedział swych życzeń wyraźnie tak, aby można było je zrozumieć i uczynić im zadość... Stwierdzając raz jeszcze, że nie wierzę w duchy, ani w ducha — wyrażam zarazem gotowość pomocy, opieki nad nimi. Podnoszę się w mojej ciemności i zapalam światło.

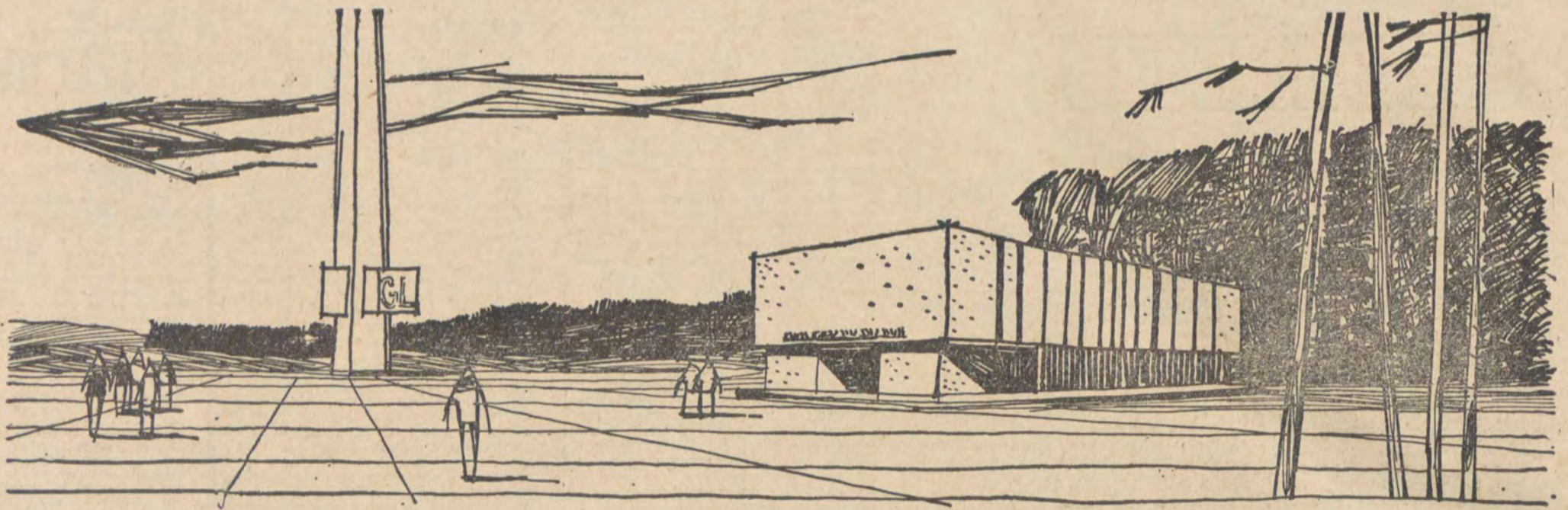
BERNARD SZTAJNERT



Linyolit. Roman Płonka.

Fot. A. Idziński

Jaskółki zamiast kul...



Rys. J. Michalewicz

Zieleń lasu i biel kamienia. W niebo strzela ostry kamienny bagnet — na kamiennej gardzie sylwety ludzi z karabinami w dłoniach oraz litery GL. A wokół pola i ściana lasu za obeliskiem.

Asfaltową szosą pędzą w kierunku Tomaszowa i Piotrkowa ciężkie „stary” i zwinne „wartburgi” — wzdłuż drogi chyla się wierzy, szumi dąb przy drodze, w dali niebieskawy leśny horyzont...

Cisza. Z nieba leje się ostry czerwcowy skwar. Idziemy powoli w kierunku tego betonowego bloku, który na lekkich słupach wyrasta z ziemi. „Jestem projektantem muzeum — mówi Michalewicz — a to konstruktor inżynier Koszarek”. Kierownik budowy kiwa głową i mówi krótko — „ano, robi się”.

Półnaczy robotnicy zakładają belki pod oszalowania, stygnie beton. Kilkadziesiąt kilometrów stąd, w małym domku przy jednej z bocznych uliczek Julianowa plastik Michał Galkiewicz kuje w piaskowcu parometrowej długości napis: „Muzeum Czynu Partyzanckiego”.

Przy asfaltowej szosie Piotrków — Tomaszów wyrasta obok strzelającej w niebo kamiennej piki obelisku zwarty betonowy monument Muzeum. Właśnie tu — u progu lasu, który pamięta terkot pepesz, który deptały buty partyzantów.

Jest czerwcowy skwar i cisza. Michalewicz zastylł nad szkicownikami po drugiej stronie szosy, Koszarek wyjaśnia z kierownikiem Bykowskim szczegóły konstrukcji nośnej.

Jest cisza, skrzypi zeschnięta trawa — idę wzdłuż kamiennego podestu aż do prostokątnej bryły z napisem „Chlubne karty partyzanckiego oręza AL i GL”. Lasy psarskie, parczewskie, chroberskie, Diabla Góra, Zabudzińska nad Rawką i na pierwszym miejscu ta nazwa — Polichno.

To właśnie tutaj — dziesiąty czerwca 1942 — Polichno, ta wieś za ścianą lasu... Na lewo Budy,

na prawo Kolo... Przeciwno niewielkiemu oddziałowi „Małego Franka” wyruszają na ciężkich „studebackerach” oddziały policji i żandarmerii z Piotrkowa i Tomaszowa. Później napisze historyk — „w nierównym boju padło wielu zabitych, ciężko ranny został Franciszek Zubrzycki — „Mały Franek”, dowódca pierwszego oddziału Gwardii Ludowej”. Pierwszego oddziału dysponującego jednym „obrzynkiem”, sześcioma pistoletami, dwunastoma granatami i trzema parami kluczy do rozkręcania szyn. Ale to właśnie za nimi poszli inni i zaroili się lasy ludowym, partyzanckim wojskiem...

To właśnie ich czyn zbrojny uhonoruje i przypomni ten betonowy monument muzeum z widniejącymi nad wejściem krzyżami — Grunwaldu i Partyzanckim. Nie znajdzie się za szkłem muzealnych gablot ta linka stalowa, którą zrzucano z szosy hitlerowskie samochody, nie znajdzie się tam żaden z pierwszych dwunastu granatów, ani wysłużony „obrzynek” — stary mauzer z obcięta lufą...

Odrzucono rekwizyty, gdy przyszedł czas pokoju, wywalczony w upartym marszu przez polskie lasy. Zarzucono rekwizyty, gdy przyszedł czas, aby powiedzieć „Wypiękniałaś w lesie, ojczyzno...” Ale pozostał ślad w ludzkiej pamięci, w wyblakłych fotografiach, w gazetkach odbijanych na hektografie, w meldunkach i rozkazach... Pozostał ślad i pamięć, dla których w czerwcowym skwarze półnaczy robotnicy wznoszą betonowy gmach muzeum. Aby ów ślad na drogach, duktach i partyzanckich ścieżkach utrwalić właśnie tu, właśnie w tym miejscu, w zakolu leśnym, wśród przyjaznych drzew, które szumią po polsku — jak zawsze.

Siwa chmura nadciąga znad horyzontu — nad betonową płaszczyną wokół obelisku i muzeum szubują ze świstem jaskółki. Nadchodzi deszcz — jas-

kółki zamiast kul, przecinają czyste niebo. Jaskółki zamiast kul...

Jest cisza czerwcowego południa, ale tamten świst śmiercionośny słychać w leśnym zakolu, w duktach i wierzbowych wtkach. Tamten świst trwa w naszej historii — jemu to stawiamy dziś surowy monument muzeum z poszarpaną dramatycznie fakturą ścian.

Plastyczna wizja i architektoniczny kształt wznoszonej budowli są — niezależnie od użytkowych, muzealnych funkcji — same w sobie pomnikowym eksperymentem artystycznym. „Grają” swoją bryłą, kształtem, rozwiązaniem. Biel betonu, czerwień cegły i surowa czerń metalu... Z układu metalowych płytów spawanej blachy, z chropowatych konarów żelaznych drzew — wyrasta faktura betonowej elewacji, falująca jak sztandar.

Pozioma, płaska, dostojna jak mauzoleum bryła, wsparta na ażurowej siatce metalowych liści i konarów podkreśla strzelistość kamiennego miecza — obelisku z rzeźbioną gardą.

Jan Michalewicz, Marian Koszarek, Michał Galkiewicz, Stanisław Żalobny — nie mają więcej lat, niż liczył wówczas „Mały Franek” — budują dziś Muzeum Pamięci tamtych młodych partyzantów-żołnierzy. Nie tylko tych z Gwardii i Armii Ludowej, ale wszystkich, którzy w okupacyjną noc schwycili za broń. I jest w tym głęboki sens i historyczna ciągłość, bo przecież z tamtego zbrojnego czynu polskich partyzantów wynika nasz dzień dzisiejszy, cisza czerwcowego południa i zwiastujące deszcz jaskółki szubujące nad Polichnem. Jaskółki zamiast kul...

Z Andrzejem Brychtem o filmie

Redakcja tygodnika „Odgłosy” zwróciła się do znanego pisarza i publicysty, Andrzeja Brychta, z prośbą o wypowiedź na temat jego osobistych doświadczeń z filmem polskim.

Oto wywiad, jakiego przedstawicielowi naszego pisma udzielił Andrzej Brycht.

— Co Pan sądzi o ekranizacji pańskiego opowiadania „Wycieczka: Auschwitz-Birkenau”?

A. BRYCHT: Spodziewałem się, że będzie lepiej, ale kiedy zobaczyłem film, ucieszyłem się, że jest tak jak jest, gdyż zrozumiałem, że mogłoby być gorzej. Pretensji do reżysera nie mam, ponieważ Ziarnik, z chwilą, kiedy zabrał się do roboty nad „Wycieczką”, nie był jeszcze reżyserem.

— Był już przecież znanym dokumentalistą?

A. BRYCHT: To dla fabuły się nie liczy. Różnica pomiędzy dokumentalistą, a reżyserem filmów fabularnych jest mniej więcej taka, jak między Brychtem z reportażyków drukowanych

w „Odgłosach” w roku pięćdziesiątym dziewiątym, a Brychtem z roku sześćdziesiątego ósmego.

— No tak, ale to jest ciągle ten sam Brycht?

A. BRYCHT: No tak, ale nie każdy jest Brychtem.

— No, tośmy się pośmiali.

A. BRYCHT: Właśnie. Więc skoro już wszystkich poobrażałem, Ziarnika, „Odgłosy” i różnych ponuraków — do rzeczy. — „Wycieczka” ujawniła, mimo wszystkie swoje braki, trzy duże talenty: Brychta jako scenarzysty, Filipskiego jako aktora i Ziarnika, co do którego mam niezachwiane przekonanie, że za kilka lat będzie naszym czołowym reżyserem fabularnym.

— Co Pan sądzi o filmie „Dancing w kwaterze Hitlera”, którego my nie mieliśmy jeszcze okazji oglądać, a który, jak słychać, reprezentuje naszą kinematografię na festiwalu w Karlovych Varach?

A. BRYCHT: Istotnie, tam będzie premiera tego filmu. Wczoraj (4 czerwca 1968 r.), o godzinie 19 odleciał samolot, którym miałem jako członek polskiej delegacji, wspólnie z reżyserem Batorem i aktorami, udać się na ten festiwal. Jednakże zrezygnowałem z tej przejażdżki. Przyczyny są dwie. Pierwsza, to brak smokinga. Reżyser Batory ma piękny smoking i powiada, że podczas festiwalu nawet do wygodki należy chodzić w smokingu. To mnie przeraziło. Nigdy w życiu nie włożyłem sobie smokinga, który kojarzy mi się nieodparcie z czymś w rodzaju kafta-

na bezpieczeństwa (towarzyskiego). To już mnie przekreśliło jako uczestnika festiwalu.

— A jaka jest druga przyczyna?

A. BRYCHT: Wiąże się ściśle z pierwszą. Moim zdaniem w tak zwany wielki świat filmowy należy wkroczyć raczej z wielkim filmem niż w najbardziej lśniącym smokingu. Żaden smoking nie przykryje braków takiego połamańca, jakim jest „Dancing”.

— A może Pan zbyt subiektywnie na to patrzy?

A. BRYCHT: Możliwe. Ponieważ to jest wywiad ze mną, a nie z reżyserem filmowym. Moim zdaniem na koncepcję filmowego „Dancingu” złożyły się niemal wszystkie prądy, kierunki, style, stylizacje i wady filmowe z ostatnich dziesięciu lat. Wszystko to oczywiście, jest już tak stare, że chwilami pachnie kiczem, ponieważ żadna sztuka nie starzeje się tak prędko jak film, i żadna nie staje się równie szybko czymś tak nie do zniesienia.

— Pierwotnie literacki odebraliśmy jako dobry materiał filmowy. Więc dlaczego?

A. BRYCHT: Reżyser zgubił przewodnią ideę mojej noweli w pogoni za płytko pojętą, nieprzemysłową „nowoczesnością”. Stracił z oczu to, o czym mu przecież w pierwszej fazie pracy nad scenariuszem zależało.

— Czy Pańskie doświadczenia z filmem ograniczają się tylko do „Wycieczki” i „Dancingu”?

A. BRYCHT: „Dancing” i „Wycieczka” to dwa filmy, które trwają w sumie około czterech godzin. Natomiast doświadczeń mam tysiące i trwają one już kilka lat. Bardzo się dziwię, jak w tej atmosferze doszło w ogóle do realizacji tych moich dwóch utworów. Może nawet to źle, że już są gotowe, bo gdyby robione były dopiero teraz, to na pewno ich wartość dla społeczeństwa byłaby o wiele większa. Napisałem jeszcze kilka innych scenariuszy, których żaden zespół nie ma ochoty realizować. Przykłady: „Sceny miłosne”, „Rififi po polsku”, „Naped” (napisane wspólnie z reżyserem Mieczysławem Waśkowskim). Jeśli chodzi o „Sceny miłosne”, to zespół „Kadr” jednogłośnie zakwalifikował ten scenariusz, ale wiceminister do spraw kinematografii odrzucił ten scenariusz. Na koniec powiem Panu co myślę o filmie w ogó-

le. Mamy sporo bardzo zdolnych ludzi, szybkich, odważnych, znających technikę filmową. Można stworzyć z tego drużynę, która dojdzie do olimpijskich finałów. Trzeba tylko naprawdę chcieć i robić wszystko, żeby to „chcenie” zamienić w rzeczywistość. I to jest najtrudniejsze.

— Dziękuję Panu za rozmowę.

A. BRYCHT: Jeśli chodzi o te kilka ostatnich zdań, to nie tylko mnie może Pan dziękować. Ja się do tych podziękowań przyłączam.

Rozmawiał: MACIEJ WYSOCKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Aretha Franklin

KARIERA CZARNEJ SPIEWACZKI

Jedną z najwybitniejszych śpiewaczek Rhythm and Blues jest córka czarnego pastora. Aretha Franklin. Bardzo wczesnie nauczyła się śpiewać. Mając lat osiem śpiewała już wraz ze swymi czterema siostrami w rodzinnym chórze. Dziś ma lat 26, a płyta z jej piosenką „I never loved a man the way I

love you” została szybko rozkupiona w ilości miliona egzemplarzy. Rhythm and blues jest formą tradycyjnego, popularnego jazzu sprzed lat około czterdziestu. Aretha Franklin zyskała sobie wśród miłośników jej talentu miano Lady Soul (dama, która śpiewa całą duszą). Przed nią na miano to zasłużyły sobie tylko Ella Fitzgerald i Billie Holiday.

CZŁOWIEK PRZED UMIEJĘTNOŚCIĄ PISANIA

Nalładem paryskiej oficyny wydawniczej Armand Colla, ukazała się nowa edycja książki pt. „L'Homme avant l'écriture” (Człowiek przed umiędnościami pisaną). Autorem jej jest Andre Varagnac, który od roku 1959 zebrał i opracował nowe materiały odkryte archeologicznie. Książka, zawierająca liczne ilustracje, nieraz obiektów mało znanych. Dzieło jest obszernym zbiorem wiadomości o wykopaliskach i zabytkach

neolitycznych z pięciu kontynentów.

GORKI I CARSKA CENZURA

W roku 1906 A. M. Gorki przebywał w Ameryce. Tam to napisał powieść „Matka”. Carska cenzura od początku ustosunkowała się wrogo do tego dzieła. W roku 1907 powieść znalazła się na biurku fednego z najbar dziej wpływowych cenzo rów owego czasu, barona Kaulbarsa. Ten bardzo uważnie przeczytał powieść i dał jej wyjątkowo celna ocenę: „Obecne dzieła Gorkiego — pi-

każ cenzor — to apologia łączenia się z ludem (dźwignia w narod) dla wprowadzenia socjalizmu. W książce przedstawiony jest ojciec, który nie znajduje zadowolenia w szarym życiu robotnika i upija się, podczas gdy jego syn Paweł odaje wszystkie swe duchowe siły sprawie wyzwolenia robotników i chłopów. Syn wiecaga w końcu do swej propagandy i matki, która z cichej bogobojnej kobiety staje się „świadomą”, zajmuje się propagandą i wtedy dopiero osiąga cel i sens życia”. Cenzor wydał zakaz druku „Matki”. Z wielkim trudem udało się mimo to opublikować powieść Gorkiego. Pierwsza część ukazała się w roku 1907 w zbiorach XVI, XVII i XVIII wydawnictwa „Znanie”, ale władze carskie zabroniły ich sprzedaży, jednak duża część nakładu zdążyła się już



rozejść. Gorkiego usłowo pociągnąć do odpowiedzialności sądowej i był poszukiwany przez policję. Autor „Matki” przebywał w tym czasie we Włoszech. Druga część powieści była potem opublikowana ze znacznymi skreśleniami dokonanymi przez cenzurę. W między czasie Partia Bolszewików zorganizowała pełne wydanie powieści, która została wydrukowana w Berlinie, skąd książkę przetrzeszczono do Rosji.

PICASSO CIĄGLE TWORZY

Osiemdziesięciosiedmioletni Picasso urządził wystawę osiemdziesięciu dwóch rysunków jakie powstały od 15 maja 1966 roku. Rysunki pokazane są w porządku chronologicznym, w miarę jak powstawały. Pierwszym jest „Człowiek siedzący”.

Data ukończenia rysunku: 15 maja 1966. Ostatnim rysunkiem jest „Faun, naga kobieta i muszkieter”. Rysunek ten powstał 6 września 1967 roku. Między tymi granicznymi datami figurują rysunki o charakterystycznej tematyce Picassa jak „Bachanalie”, „Gracjacy na fujarcie”, sceny cyrkowe.

ANOUILH NA SCENACH MOSKIEWSKICH

„Czy Jean Anouilh stał się autorem najwięcej granych w Moskwie?” — pytał z końcem maja paryski dziennik „Le Figaro” informując, że w Teatrze Małym, jednym z najstarszych i najbardziej znanych w Moskwie, wystawiana jest sztuka Anouilha „Pasażer bez bagażu”. Widzowie będą mieli kłopot, na którą sztukę tego dramaturga pójść do teatru, bowiem na afiszu jest już pięć innych dzieł tego dramaturga m. in. „Medea” grana w Teatrze Stanislawskiego.

ZŁOTY MEDAL DLA 16-LETNIEJ RADZIECKIEJ PIANISTKI

W międzynarodowym konkursie „Królowej Elżbiety Belgijskiej” jaki odbył się niedawno w Brukseli, złoty medal zdobyła szesnastoletnia pianistka radziecka Jekaterina Nowickaja. Drugie miejsce zajął również przedstawiciel ZSRR W. Kamyczow, trzecie — Amerykanin Jeffrey Siegel. Dalsze miejsca zajęli pianisci ze Związku Radzieckiego, Belgii, USA, Wenezueli, Japonii, Francji i Libanu.

NAJMNIEJSZA KSIĄŻKA NA ŚWIECIE

Najmniejsza książka na świecie ma się ukazać w Mediolanie w wydawnictwie Gentrino. Będzie to nowe wydanie „Lettera die Galileo Galilei a Cristina di Lorena”. Dziełko liczące 210 stron zostanie oprawione w skórę i ozdobione złotym ornamentem. Wielkość stron: jeden na półtora centymetra.

NOWA KSIĄŻKA O VAN GOGHU

Jak informuje szwajcarski dziennik „Journal de Genève”, wydawnictwo Skira rozpoczęło wydawanie nowej serii zatytułowanej „Kto to był?”. Zadaniem tych publikacji jest spopularyzowanie pogłębionych biografii wielkich ludzi sztuki zarówno dawnych jak i współczesnych. W przygotowaniu znajduje się m. in. książka pt. „Le Corbusier”, a niedawno wyszła z druku książka o Van Gogh, która wybitnym znawcy, profesora historii sztuki na uniwersytecie w Genewie, Jeana Leymarie. Monografia napisana jest jasno i prosto, ilustrowana licznymi reprodukcjami, a cena książki jest dość przystępna. Profesor Jean Leymarie zrezygnował z nadmiaru materiału anegdotycznego, podaje natomiast najdrobniejsze szczegóły życiorysu Van Gogha, zaś wielkiego malarza ukazuje jako postać pełną tragizmu i ciągłego poszukiwania własnej osobowości. Vincent Van Gogh urodził się 30 marca 1853 roku w Zundert, jako syn i wnuk pastora. Wśród swych przodków miał

rzeźbiarza, złotników i kupców obrazów. Wzrastał więc w środowisku, w którym z równą siłą oddziaływały wpływy chowania religijnego jak i znawstwa sztuki. Vincent był najstarszym z rodzeństwa, miał dwóch braci i trzy siostry, ale już od zarania dzieciństwa ciążyło na nim piętno fatalizmu. Bowiem pierwszy syn pastora zmarł wkrótce po urodzeniu, a urodził się dokładnie na rok przed przyjściem na świat Vin-

centa, przyszłego malarza. Tamten zmarły brat miał to samo imię, a w księgach ludności wpisa no nowo narodzonego chłopca na miesiąc jego zmarcia przed rokiem brata. Vincent Van Gogh od dzieciństwa widział na nagrobku brata swe własne imię i dręczył się ustawicznie, że właściwie żyje zamiast tamtego, zmarłego. Był to więc dramat wewnętrzny, który ciążył będzie następnie na całym życiu wielkiego malarza.



Rysunek wykonany przez Van Gogha w r. 1885 w Nuenen. Malarz miał wtedy 32 lata. Jest to ilustracja, jaką Jean Leymarie wybrał dla umieszczenia na okładce swej książki o Van Gogh.

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI

spektakl	widzów	%	
„Porwanie w Tiuurilistanie”	1	1276	100
„Dziadek do orzechów”	1	1276	100
„Jeziorko łabędzie”	1	1276	100
„Legenda o miłości”	1	1276	100
„Abraxas”	1	1276	100

NOWY

„Tkacze”	2	1400	100
„Trzy białe strzały”	3	2100	100
„Gra miłości i przypadku”	2	1400	100
„Lato”	2	500	40

NOWY

Mała Sala			
„Gra miłości i przypadku”	5	800	90

POWSZECHNY

„Baba Dziwo”	1	600	90
„Radziwiłł Panie Kochanku”	2	1180	89

JARACZA

„Niemcy”	2	1260	100
----------	---	------	-----

7,15

„Bliźniak”	4	1680	100
------------	---	------	-----

OPERETKA

„Dziękuję ci, Ewo”	6	6100	93
--------------------	---	------	----

FILHARMONIA

Koncerty symfoniczne	2	750	55
----------------------	---	-----	----

Teatr 9 milionów

ROZMOWA Z IRENA BOLTUCZ, ZASTĘPCA NACZELNEGO REDAKTORA PROGRAMÓW ARTYSTYCZNYCH I KULTURALNYCH TELEWIZJI POLSKIEJ

W. O.: Widownia telewizyjną w Polsce szacuje się ostatnio na 9 milionów osób. Jeżeli przyjąć, że Teatr TV prezentuje swoje spektakle każdorazowo 9-milionowej publiczności, to zakres jego oddziaływania jest rzeczywiście ogromny. Przeciętny teatr na ca 700 miejsc musiałby grać jedną sztukę co wieczór przez czterdzieści lat, by uzyskać taką liczbę widzów. Jaka jednorazowo ogląda spektakle Teatru TV. Pani Ireno, jak czują się w roli „milionerów” ludzie odpowiedzialni za program telewizyjny sceny?

I. B.: Cieżar odpowiedzialności jest, oczywiście, ogromny. Tym bardziej że wzrosła bardzo ilość programów realizowanych w ramach Teatru TV. To zmusza nas do ściślejszego określenia i ukierunkowania rodzajów spektakli teatralnych.

W. O.: A więc profilowanie...

I. B.: W pewnym sensie. Zaczęło się od działającego już od dwóch lat Studia Współczesnego.

W. O.: Domyślam się, że to oczko w głowie redakcji.

I. B.: Oczywiście. Dając w ramach tego odcinka szanse młodym autorom, przyczyniamy się do rozszerzenia się kategorii pisarzy telewizyjnych. W ten sposób wystawiał u nas swoje sztuki Bordowicz, Dymny, Kabate, Krasieki, Krasinski, Kubikowski, Rogowski, Stanuch, Terlecki.

W. O.: To znaczy, że w ramach Studia Współczesnego mogą dokonywać się pewne próby dramatyczne i spraw dzenie przez młodych autorów możliwość swego warsztatu?

I. B.: Tak jest. A oprócz tego ze względu na późną porę emisji, mogą się tu pojawiać pozycje trudniejsze, przeznaczone dla węższego grona odbiorców.

W. O.: A jak wygląda polityka w stosunku do teatru niedzielnego?

I. B.: Uruchomiliśmy w tym sezonie Teatr Komedi Współczesnej. Uważamy to za osiągnięcie, gdyż zapotrzebowanie na komedie jest duże, a podaż stale niedostateczna.

Preferujemy komedie rodzima, czego dowodem jest fakt, że jak dotąd graliśmy tu tylko komedie polskich autorów: Majewskiego, Mularczyka, Stawińskiego, Tyma. Przewidujemy dalek komedie Bystrzyckiej, Białasza, Chmielewskiego, Jareckiego, Osieckiej, Wydryńskiego, Załuckiego. Wehoda w grę również komedie zagranicznych pisarzy.

W. O.: Od jakiegoś czasu oglądamy w niedzielę widowiska z cyklu „Teatr TV na świecicie”.

I. B.: Pragniemy zapoznać naszych widzów z ciekawymi realizacjami zagranicznymi. Są to najlepsze filmy telewizyjne, ale należące do kategorii teatru TV. W ramach tych konfrontacji pokazaliśmy już japoński film „Na scenie”, znakomity program teatru słowackiego „Kubo”, będący transpozycją stylizowanego folkloru, belgijskiego „Aga-memoona”, stanowiącego nową propozycję prezentowania antyku, a ostatnio włoska „Matka z Turynu”, odznaczona ubiegłoroczną Prix Italia. W przygotowaniu mamy program czeski „Złote wesele”, belgijski „Otwarty grób” i rumuński „Lada”.

W. O.: Czas już chyba, żebyśmy poruszyli sprawę ciekawych eksperymentów Hanuszkiewicz.

I. B.: Ma Pan na myśli Studio 63. Po cyklu poetyckim Hanuszkiewicz sięgnął po wielką polską publicystykę. Zaczął od „Kronik” Prusa, a rzecz z miejsca „chwycił”, a w tej chwili, szykuje się już

trzęcie „Telepatrzydło”. Potem w planach Studia są „Dzienniki” Żeromskiego i felietony Boya. Natomiast w ramach niedzielnej Estrady Literackiej nadalimy cykl programów poświęconych poetom XX-lecia. Wicę Tuwim, Gatożyński, Broniewski, Lesmian, Lechoń. W czerwcu zamknijemy ten cykl poezjami Jasnorożkiewicz-Pawlikowskiej. A w przyszłym sezonie sięgniemy po poetów młodego pokolenia: Grochowiaka, Białoszewskiego, Jerzyne, Szymborską i in.

W. O.: Biletom wylotowym pozostaje jednak dla was nadal Teatr Poniedziałkowy.

I. B.: Tak, tylko że i tu zachodzą pewne zmiany. Odcinamy odcinamy od repertuaru tradycyjnego na rzecz oryginalnych scenariuszy i adaptacji wybitnej epiki. Z ostatniego sezonu wymienię jako typowy dla tej tendencji „Brullion” Bratnego, „Poletko nad jeziorem” Lenarta, „Przejęcie, nie minelo” Bratnego, „Sygnel” Stolarca, „Nokturn” Grochowiaka i przygotowywane: widowisko okupacyjne Zaleskiego „Smuga światła”, Józefa Grudy „Portret Marii” (o Marii Skłodowskiej-Curie) i Stolarca „Znamomi z Colliers”. Dobór tekstów do adaptacji przebiegał ostatnio pod katem 50-lecia państwowości polskiej. Dlatego sięgnęliśmy głównie po pisarzy międzywojennego XX-lecia. Po „Wspólnym pokoju” Unilowskiego przewidujemy „Cale życie Sabiny” Boguszewskiej, „Granicę” Nal-

kowskiej, „Sidla” Kruczkowskiego, „Strachy” Ukniewskiej, „Dziewczęta z Nowolipki” Gojawicyzkiej, „Sławę i chwale” Iwaszkiewicza, coś z Żeromskiego (może „Dzieje grzechu”), St. Balickiego i in. Obok tego, oczywiście, klasyka i sztuki literatury.

W. O.: Kiedy możemy oczekiwać wymienionych pozycji?

I. B.: W większości już w trzecim kwartale. Oczekiwaliśmy skrótów nam doroczny Telewizyjny Festiwal Teatralny, który otworzy w lipcu Szezezin „Ryszardem III”. Inne ciekawe pozycje, to „Zemsta” z Wrocławia i Zabrza, „Cymbelin” z Krakowa, „Szalona Julka” Kisielewskiego z Poznania, „Ocean” Szejna z Bydgoszczy, „Moralność pani Dulskiej” z Krakowa, „Pruski mur” Zaleskiego z Warszawy, „Niemcy” z Łodzi, „Kulig” Wybiickiego w adaptacji Schillera z Lublina, „Brytanik” z Częstochowy i na zakończenie, już we wrześniu, „Tkacze” Hauptmanna z Łodzi.

W. O.: Nareszcie jesteśmy przy ośrodkach regionalnych!

I. B.: Tu podkreślić muszę z przyjemnością aktywizację Szczecina. Nadawane w ramach Teatru Piątkowego „Wieczory z Conradem” są bardzo interesującą propozycją parateatralną. Bardzo ożywił się Wrocław, realizujący spektakle piątkowe i Studia Współczesnego. Katowice bardzo podniosły poziom realizatorski swoich programów. Natomiast bierność wykazuje Kraków, Poznań i Gdańsk.

W. O.: Na koniec zostawiła Pani Łódź...

I. B.: Łódź była zawsze pierwszą po Warszawie podpora Teatru TV. Nadal spektakle emitowane z Łodzi cechuje rzetelność i wysoki poziom realizacji. Szkoda jednak, że profil Teatru Telewizyjnego Łódzkiego jest wciąż nieokreślony. Koledzy z Łodzi zapowiadają od dawna spektakle zaanżerowane, nawiązujące do walk o wyzwolenie społeczne i narodo we Polski. Zapoczątkować taki cykl miało widowisko E. Szustera „Wiosenny deszcz”. Niestety, jak dotąd na tym się skończyło, a repertuar realizowany przez LOT jest eklektyczny.

W. O.: Miejmy nadzieję, że LOT w najbliższej przyszłości zabierze się do realizacji swoich ambitnych zamierzeń.

I. B.: Bardzo byśmy sobie tego wszyscy życzyli.

W. O.: Na deser może jeszcze paru ciekawych pozycji, sztykowanych nam przez Teatr TV w najbliższej przyszłości.

I. B.: Proszę bardzo, „Sędzia Irwin” Warrenna, „Naszynnik królowej” Feuchtwangera z Niną Andrycz, „Dożywcio” z Woszezerowiczem, „Kollokacja” Korzeniowskiego, „Podpora społeczeństwa” Ibsena, „Don Carlos” Schillera, „Asmodeusz” Mauriaca, „Pulapka na królika” J. P. Millera, „Hiszpanie w Danii” Merimégo.

W. O.: Myślę, że widzów czeka wiele interesujących chwil. Serdecznie Pani za tę bogatą informację dziękuję.

Rozmawiał: WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TRADYCJE MONGOLII

Mongolia jest ostatnim krajem świata, w którym przed kilkudziesięciu laty żyło społeczeństwo koczowniczo - pasterckie, a jeszcze dziś można spotkać liczne ślady starej kultury Nomadów. Ciągłe wielu ludzi wędruje po stepie z niezliczonymi stadami wielbłądów, koni, owiec. O przeszłości mówią zachowane gdzieś w skalistych górach wznoszą się ruiny twierdz, w których przed trzydziestu, czterdziestu laty bronili się załogi króla-kapłana i książąt-przeorów przed partyzantami i pasterzami.

Od czasu upadku imperium Dżyngis-Chana w Mongolii nie powstało ani jedno duże miasto. W starej, przedrewolucyjnej Mongolii ludność mieszała w wędrownych jurtach i tylko pod nie którymi klasztorami powstały małe osady zamieszkałe przede wszystkim przez cudzoziemskich rzemieślników. W XIII wieku władcy Imperium Mongolskiego przenieśli swoją stolicę w dolinę rzeki Orchom, gdzie zbudowali Karakurum. Było to jedno z największych miast świata owego okresu. Mury obronne ciągnęły się przez kilkadziesiąt kilometrów. Wspaniałe pałace wykładane złotem i glazurą otoczone wечно zielonymi parkami. Wybiegające z cztery strony świata drogi łączyły stolicę z podbitymi krajami. Władcy Karakurum rządili od Chin i Korei aż po Egipt i Kijów. W niecałe półtora wieku po założeniu stolicy w podbitych Chinach wybuchło zwycięskie powstanie, a wojska chińskie doszczętnie zniszczyły siedzibę swych cudzoziemskich władców. Całe miasto zburzone, spalono i jeszcze przez kilka dni podtrzymywano żar, aby nie ocalała ani jedna budowla, najmniejszy ślad wielkości Mongołów.

Dzisiaj na miejscu Karakurum rozciąga się pustynia. Zachowały się jedynie resztki starych murów. Zachowały się także resztki kamiennego postumentu, na którym stała kilkudziesięciometrowa żółta jurta Dżyngis-Chana. Ruiny zbudowała częściowo w latach 1946-7 wyprawa archeologów radzieckich — widnieć jednak, iż poruszone jedynie skromny wycinek ruin. A w popiołach Karakurum można znaleźć bardzo wiele. Ot tak, w bierając trochę ziemi natrafia

się na ułamki dawnej glazury, o cięgiele żywych, pięknych, błękitno-złoty barwach, czy miniatury szoszek dwucentymetrowej wysokości, figurkę jurty służącą niegdys do celów rytualnych.

W dzisiejszej stolicy, Ulan Bator znajdują się trzy zabytkowe budowle — ślady dawnych wieków. Najpiękniejszy jest pałac bogdo-gegena. Składa się on z dwu części, letniej i zimowej. Część letnią zbudowano na wzór pałacu cesarskiego w Pekinie, wzbogacając wzór chiński o pewne elementy hinduskie i japońskie. Dalej ogrody dziedzińca otoczone pietrowymi drewnianymi budynkami lakierowanymi na czerwono-błękitne barwy i bogato zdobionymi. Każdy budynek ozdobiony jest setkami rzeźb głów ludzkich i zwierzęcych. Dachy w kształcie wiązań bambusa pokryto glazurą, porcelaną i złotą blachą. Wprawiono w ściany chińskie i japońskie obrazy malowane na jedwabiu, pergaminie i papierze. Wewnątrz znajdują się ekspozycje dzieł sztuki. Przy zwiedzaniu uwagę zwracają chorągwie religijne — na każdej znajduje się postać Buddy wyszywana perłami oraz klejnotami. Są to chorągwie wykonane przez mistrzów mongolskich, chińskich, japońskich, perskich i hinduskich. W gablotach umieszczono kilkadziesiąt posągów Buddy i lamów; brązowe, srebrne i złote — niekiedy pokryte emalia, różne wielkości od miniaturowych do metrowych i większych. Zrędomadzone tu najpiękniejsze zabytki sztuki mongolskiej. Haf ty, wykonane przez kobiety mongolskie, rzeźby i obrazy znanego malarza Marżana Szereba, rewolucjonisty i współpracownika Suche Batora. Twórcą plakatu mongolskiego i redaktor jednej z pierwszych gazet obrat za ulubiony motyw obrazki z życia codziennego pasterzy.

Widać, że pałac był niegdys wielokrotnie większy, gdyż otaczają go wyburzone obzery na zabudowania gospodarze. Na ich miejscu stoi obecnie wielopiętrowy hotel „Zakole rzek”.

Na część zimową składa się zaledwie jeden budynek — szara, kamienna pietrowa willa. W kilkunastu pokojach umieszczono przedmioty codziennego użytku ostatniego Chana. Znajdują się tutaj leki, tyki, powozy, meble, chińskie

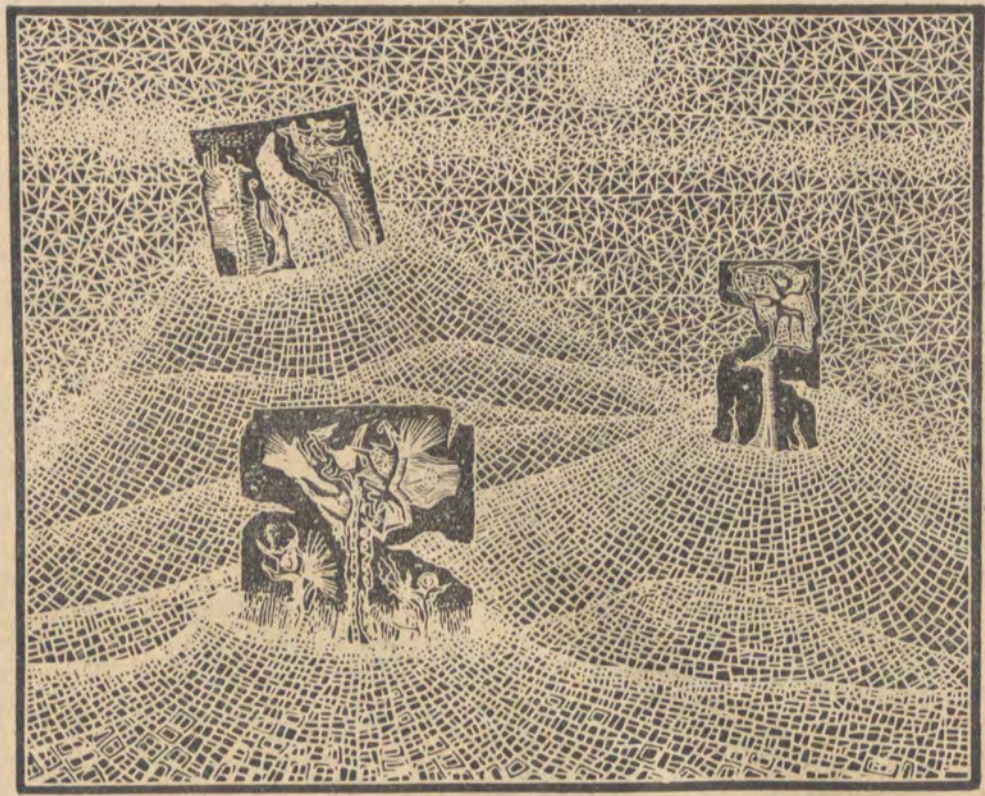
ordery. Wśród kolekcji wypchanych zwierząt zobaczyć można kilka egzemplarzy polskich — plaki i lis. Większość pomieszczeń zajmują stroje władcy. Wszystkie o tradycyjnym, staromongolskim kroju — podobne do długich kaftanów, tunik z krótką bluzką. Zdziwiał strojnosc niektórych. Jeden utkany ze złotych nitok wygląda jak długa szeszerozłota kolczuga o lekkości i bogatych płaskorzeźbach z cieniowanego złota. Drugi wykonano z koralu. Dziesiątki rzeźbionych koralowych płytek połączono tworząc w ten sposób dalmatynekę. Bardzo bogata jest kolekcja czapek przybranych najdroższymi futrami, zdobionych klejnotami i złotem.

Drugie muzeum mieści się w starym klasztorze „Czoddzin Lamin sume” zamienionym w 1941 r. na muzeum historii religii, a właściwie zgodnie z oficjalną nazwą na „Muzeum antyreligijne”. Architektura tego klasztoru przypomina pałac letni.

W kilku budynkach zgromadzono lamaistyczne przedmioty rytualne. Znajduje się tu najbogatsza na świecie kolekcja rytualnych masek. Naliczyłem ich przeszło pięćdziesiąt. Najczystszy elementem zdobniczym masek są trupie czaszki, straszliwe gęby demonów, byków. Taniec lam był jednym z obrzędów urzędanych na cześć demonów i bóstw z zaświatów. Trzeba bowiem pamiętać, że lamaizm jest religią stosunkowo nieortodoksyjną i dopuszczał przyjmowanie do panteonu lamaistycznego dawnych demonów i bóstw ludowych. Dlatego też spotkałem w muzeum bogaty zbiór wyrobów sztuki ludowej. W tym, między innymi strój szamana identyczny jakoby ze strojem noszonym przez słynnego współzawodnika Dżyngis-Chana, szamana Teblengri. Mongolski rytuał oparty na wierzeniach ludowych, chętnie operował czaszkami i wyrobami z kości ludzkich. Można oglądać piszczałki z kości wołowych czy puchary ofiarne wykonane z czaszek. W jednym z budynków znajdują się dwa obrazy przedstawiające piekło. Artysta niezwykłe realistycznie przedstawił sceny męczarni, podobnie jak w niektórych obrazkach spotykanych na Podhalu. Ciekawe, że przedstawione zostały dwa kręgi piekielne, podobnie jak w Boskiej Komedii — krąg ognia i krąg lodu.

W Ulan Bator czynny jest jeden klasztor „Gandau” — ostatni z pięciu klasztorów, w których setki tysięcy zakonników uczyło się czterech świętych prawd buddyzmu wyzwalających od pragnienia i cierpienia, gdyż pragnienie rodzi cierpienie. Kilkudziesięciu braci szuka drogi wyzwolenia duszy ludzka z ciągłego krążeńia w różnych postaciach. Kiedy pierwszy raz oglądałem klasztor, był już późny wieczór i zamknięto bramy. Jedyne pod jednym z muzeów stała grupa sta-

Fot. A. Idziński
Henryk Pióciennik — „Trzy ściany”



rych kobiet, wolno obracających wielki kołowrót z naklejonymi setkami małych kartek modlitw. Wierzą, że z każdym obrotem Budda wysłuchuje wszystkich modlitw wypisanych na kartach i gsyła wyproszone błogosławieństwa na obracającego bęben. Kiedy przyszedłem następnym razem, odprawiano właśnie nabożeństwo. Na dziedzińcach kręciło się kilkanaście osób. W największym budynku, złotej pagodzie, zebrali się wszyscy zakonnicy. Siedzieli na dwu ławach, u szczytu których stały dwa fotele przeznaczone dla starszych Zgromadzenia. Im bliżej szczytu ławy znajduje się miejsce, tym wyżej w hierarchii zakonników stoi zajmujący je zakonnik. Stroje rytualne także są rozmaite, różne dla różnych stopni zakonnych. Złoto-czerwone płaszczki, wysokie czapki, gina w mroku świątyni, rozświetlanym jedynie dziesiątkami płonących lampek i kaganków. Kilku Europejczyków, nie zwracając uwagi na nabożeństwo, ogląda malowidła i chorągwie religijne, obchodzą modlących się zakonników, rozwiązując trudny problem zrobienia udanego zdjęcia przy słabym oświetleniu. A tymczasem dzwonki i bębny przelatały się z recytowanymi półgłosem modlitwa mi przechodzącymi niekiedy w półśpiewną deklamację. Najmłodszy bracia podają święte księgi i rozdają herbatę w wielkim, miedzianym imbryku. Książki mają kształt wydłużonego prostokąta i składają się z niezliczonych kart obwiazanych chustką. Zakonnik, który otrzymał książkę, rozwiązuje chustkę i następnie

czyta, albo tylko dotyka pierwszej, środkowej i ostatniej karty. Z tak potraktowanej książki korzyści identycznej jak z przeczytanej. Wszystkie modlitwy uleją do Buddy. Nije jest to zwyczaj śmieszny — wywodzi się z zamierzchłego średniowiecza, kiedy powszechna była wiara w magiczną siłę słowa pisanego i samostny był zapis. Wiele książek zawiera teksty tak stare i napisane niezrozumiałymi już dialektami starożyto-betanskimi, iż przeciętny zakonnik mógłby najwyżej recytować je mechanicznie bez zrozumienia. „Gandau” jest ostatnim klasztorom o żywej hierarchii zakonnej, sięgającej tradycji sprzed tysiącleci. Zakonnik przechodzi szereg egzaminów, aby osiągnąć tytuły karampa, albo geneś, po czym zostaje opiekunem biblioteki, „dyrektorem opiekunem”, kieruje śpiewem, aby w końcu osiągnąć najwyższy tytuł opata klasztoru i przełożonego religii Mongolii, Chambo. Klasztor posiada obok biblioteki Erden i Dzun, najbogatszy zbiór tekstów mongolskich i tybetańskich, patronuje wielu pracom historycznym i językoznawczym. Pamiętką dawnych lat, obok klasztorów i twierdz, jest jurtka. O niezmiennym od pokoleń kształcie i wyposażeniu. Na drewnianej kracie i pretach zbiegających się w góry, zawieszona jest wojłokowa tkanina. Średnica półkuli, która jest jurtka, wynosi około pięciu metrów, a wysokość trzy metry. W jurtach, które zwiadałem, wyposażenie składało się ze skrzyń, walizek, skór, dywanów wojłokowych, drewniane łózka pokryte dy-

wanami, wiszące nad nimi złoty złoty portret Sucha-Batora. W środku, pod dużym kotłem płonie ognisko, dym wychodzi przez otwór w dachu. Elementem nowoczesności najczęściej jest radio i rower. W kotle gotuje się tradycyjną baranina i ryż. W banie stoi herbata z mlekiem i solą, niekiedy samogonowa, miedzna wódka. Wódka w Mongolii jest bardzo droga, litr kosztuje w przeliczeniu około 300-400 złotych. Powszechnie pije się więc wyciąg ze sfermentowanego mleka, tak zwana miedzna wódka, kę o mocy 10-15 proc.

Tradycyjne są także najpopularniejsze sporty uprawiane w Mongolii. Należą do nich zapasy, łucznicstwo i jeździectwo. W pobliżu Ulan Bator wybudowano stadion — park sportowy. Z okazji świąt narodowych organizuje się tutaj wielkie zawody sportowe. Najwięcej widzów gromadzą zawsze zapasy. Sławni zapasnicy to bohaterowie tłumów, honorowani na każdym kroku. Wielu z nich odnosi sukcesy zagraniczne, opowiadano mi, że zdarzały się wypadki zdobycia przez Mongołów mistrzostwa świata.

Sztuka Mongolii powstała i rozwijała się w kregu kulturowym odmiennym od polskiego. Przy wnoszeniu budowli, komponowaniu obrazów, posiu giwała się wzorami estetycznymi różnymi od naszych. Jednakże pięknie jest wartość ogólnoludzka i to o piękne w kulturze Mongolii dla jej obywateli; podobnie było odbierane przez przybysza z Polski.



Lewym okiem

PRZESTAŃMY MÓWIĆ O SEONIU!

Wielu z nas pamięta jeszcze doskonale świat sprzed trzydziestu lat. Nie pamiętamy jednak zupełnie, czy i jak wyobrażaliśmy sobie wówczas dzisiejsze czasy, naszą dzisiejszą rzeczywistość tak zwyczajnie i bez zdziwienia rzeczywistość. Ostatnio mało kto zaprzata sobie głowę tym, co dzisiaj uczucie nazwano futurologią, nasze mgliste wyobrażenia o przyszłości — i to chyba tylko tej najbardziej osobistej — korygujemy po prostu co dzień, dzięki czemu nie nie wydaje się nam zupełnie zaskoczeniem. Zawodowcami od patrzenia w przyszłość są jednak artyści, a zwłaszcza pisarze. To do nich zwrócić się przed trzydziestu laty „Kurier Warszawski” i zapytaniem: „Jak to będzie za dwadzieścia lat?”. Odpowiedzi ogłoszono w noworocznym numerze „Kuriera” z 1 stycznia 1939 r. Podpisane bardzo znanymi — wtedy i dziś — nazwiskami, a przeobrażając wyprane z jakichkolwiek watorów intelektualnych. Nie, to nie eluza do poziomu intelektualnego głosnych — wtedy i dziś — twórców. To zwyczajny, klasyczny unik. Jak mawiał stary d'Alambert w Akademii Francuskiej: „Mówmy o stoniu, to jedynie wielkie budle, o którym można bezpiecznie rozmawiać...”. Nie mówili więc o przyszłości politycznej, spo-

łecznej, ustrojowej, ekonomicznej. Nie wspomnieli ani słowem o dokonujących się zmianach na mapie Europy, o głuchych pomrukach nadchodzącej nawałnicy. Makuszyński — wdzięczny a dowcipny gaduła — zaczął od tego, że w ogóle trzeba być niezbyt przytomnym, żeby mówić o przyszłości: „— Pytła była na trzeźwo niemrawą damą, skoro jej jednak do głowy uderzył jakiś gaz ziemny, śpiewała jak z nut kto, kiedy, jak i co. Wprawdzie nikt z tego nie nie wiedział, ale się bojał przynajmniej”.

— Cóż można przewidzieć na trzeźwo? — pyta pan Kornel: „Nakłady książek, które w roku 1938 wyniosły tysiąc egzemplarzy, dosięgną w roku 1958 cyfry tysiąca dwustu... „Zreformujemy ortografię. Kropki nad „i” używać się będzie wtedy jedynie, jeśli to i ma połączyć wyrazu żeńskie...”. — „Wino nadal będzie z buraków i siarki, chleb z zakalka, kawa z żyta, śmietana z maki, a serdelki z wyścigowych rumaków...”.

Juliusz Kaden-Bandrowski mniej dowcipnie, ale optymistycznie ocenia przyszłość wielkiej Polski. Też zresztą klasycznym unikiem, pustostowiem. Oto kultura wejździe pod strzechy (ale strzechy zostaną, choć może i blache zaczną kłaść chłopci na dachach). Ci sami zgrzebni, poczciwi chłopci nagle oprócz swego chłostwa stana się myślicielami i geniuszami! „Odlewy rzeźb Dunikowskiego, stojące na kominie chłopskiej izby (!), uzna młody rzeźbiarz chłopski jako zacofane; Mazurki Szymanowskiego połozą matce (!) na pulpicie pianina w paradnej izbie (fantastyczna jest ta „paradna izba”) młody rolnik kooperatywy i powie — niech no mama posucha, o ile śmielej ja ten temat modeluje...”.

Wacław Grubiński, nowelista i autor wielu komedii, uważa za proste, że „na obszarze politycznym za 20 lat nie się nie zmieni. Będziemy wciąż w przededniu wojny”. Nie nastanie na świecie „braterstwo ludów”, z tego mianowicie powodu, że wciąż jeszcze nie będzie... jednej waluty. Natomiast rozrośnie się gigantycznie prasa polska. „Będziemy posiadali kilka dzienników, bi-

jących po pół miliona egzemplarzy. Znikną kwartalniki i dwumiesięczniki, ale kilka tygodników przekroczy nakład stu tysięcy”.

„Poznamy narreszcie drugą półkulę księżycą, po czym będziemy się bardzo dziwić, że nam tak na tym zależało...”.

Światopelk Karpiński, poeta i satyryk, przewiduje puste place w tej dzielnicy Warszawy, którą przeznaczono na ambasady państw obcych. Nikto bowiem kilka państw, a „który z młynierów regulacji miasta mógł przewidzieć, do czego dojdzie regulacja Europy?”

Takie sobie bajdurki, czyli wyklepienie się sianiem. Nie wierzę, że tylko tak, tylko tyle myślał o Polsce Kaden, Kuncowiczowa, Szaniawski, Ossendowski. Nie nie widzieli? Nie nie czuli? Trzeba było aż w gwiazdy patrzeć, żeby postyszeć na co się zanosi?

W tym samym numerze, z 1 stycznia 1939 roku, słynny astrolog i przepowiedacz, wróżbita, prawie jasnowidz — Starza Dzierzbicki jako jedyny prorokuje „Rok 1939 przyniesie koło września dość silne napięcie. Wybuch wojny europejskiej będzie wtedy wisiał na włosku”.

Rzeczywiście wisiał i włoski pękł. Rzeczywiście — jak to również zapowiedział Starza Dzierzbicki — „w pierwszych dniach kwietnia i w maju niebezpieczeństwo wybuchu wojny bardzo silne”. Byłem już wtedy po pierwszej mobilizacji, która nowolala pod broń prawie całą rezerwe niektórych województw. Aha, jeszcze o Mussolinim, wycytane z gwiazd: „Całkowite wywrócenie się tego człowieka i jego reżimu. Sznoka ko śmierć gwałtowną”. Rzeczywiście, spotkała.

A nasi pisarze o wianinach w paradnych chłopskich izbach, o rolniku, modelującym motywem Szymanowskiego, i o innym, mówiącym do oca: „Niech że tato porówna wiersze starego Lechonia z moimi...”.

Czyżby należało zwrócić uwagę pisarzu ku gwiazdom, żeby lepiej dostrzegł jedną ze skromniejszych planet — Ziemię?

ĆWIEK